

rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

NR 6 (1266) 10 LUTEGO 1985 R. CENA 12 ZŁ

W NUMERZE:

Owoc wytrwałości ● Noworoczne spotkanie Kościołów ● VI Zjazd Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia” ● Koneserem pięknych głosów ●



Święta Rodzina – Maratta Carlo – w Pinacoteca Capitolina (Rzym)

NIEDZIELA MIĘSOPUSTNA (SZEŚCZDZIESIĄTNICA)

Czytanie z II Listu św. Pawła Apostoła do Koryntian
(11, 19—33; 12—1, 9)

Bracia: Radzi znosicie szalonych, będąc sami rozumnymi. Bo znosicie, gdy kto was w niewolę podbija, gdy kto was objada gdy wyzyskuje, gdy się wynosi, gdy was kto po twarzy bije. Na moją niekorzyść to mówię, jakobyśmy w tym słabi byli. Z czego jednak kto śmie się chlubić (mówię jako szalony) odwazam się i ja: Hebrajczykami są, i ja. Potomstwem Abrahama są i ja. Sługami Chrystusowymi są (jako niespełna rozumem mówię) daleko więcej ja. W trudach bez liczby, w więzieniach zbyt często; w chłostach ponad miarę, w niebezpieczeństwach śmierci częstokroć. Od żydów otrzymałem pięć razy po czterdzięci plag bez jednej. Trzykrotnie byłem smagany różgami, raz byłem kamienowany, trzy razy przeżyłem rozbicie się okrętu, dniami i nocą byłem na morzu. Znam człowieka, w ciele czy też poza ciałem, nie wiem: Bogu to wiadome (zachwycony był aż do trzeciego nieba). I wiem, że ten człowiek (czy w ciele, czy poza ciałem, nie wiem: Bóg wie) zachwycony był do rajy i posłyszał tajemne słowa, których człowiekowi mówić się nie godzi. Z takiego chlubić się będą, z siebie natomiast chlubić się nie będą, chyba tylko ze słabości moich. Gdybym nawet zechciał się chlubić, nie byłbym bezrozumnym, bo mówiłbym prawdę. Ale wstrzymuję się, by snadź nie rozumiał kto o mnie więcej nad to, co we mnie widzi albo co ode mnie słyszy. Aby mi się zaś dla wielkości objawień nie wynosił, dany mi jest bodziec ciała mego, aniół szatana, żeby mię policzkował. Dlatego trzykrotnie prosiłem Pana, aby ode mnie odstąpił, ale mi rzekł: Dosyć masz łaski mojej, bo moc w słabości się doskonali. Rad tedy chlubić się będą ze słabości moich, aby moc Chrystusowa zamieszkała we mnie.

Ewangelia według św. Łukasza (8, 4—15)

Onego czasu: Gdy zgromadziła się rzesza wielka i z miast zdążyli do Niego, mówił w przypowieści: Wyszedł siewca rozsiewać ziarna swoje. A gdy siał, jedno padło przy drodze. I zdeptane jest, a ptaki niebieskie wydziobały je. A drugie padło na grunt skalisty, a wszędziśzy uschło, gdyż nie miało wilgoci. A inne padło między ciernie, a ciernie wzrosły wespół z nim i przyguszyły je. A inne jeszcze padło na ziemię, na urodzajną i gdy wzrosło, wydało plon stokrotny. To mówiąc, wołał: Kto ma uszy ku słuchaniu, niechaj słucha. Pytali Go tedy uczniowie Jego, co by to była za przypowieść. A On im rzekł: Wam dane jest poznać tajemnicę królestwa Bożego, innym zaś przez przypowieści, aby „patrzyli, a nie ujrzeli i usłyszeli, a nie zrozumieli”. Taką zaś jest przypowieść: Ziarnem jest słowo Boże. Przy drodze są ci słuchacze, do których potem przychodzi szatan i porywa słowo z serca ich, aby uwierzywszy, nie byli snadź zbawieni. A na gruncie skalistym są ci, którzy posłyszawszy z radością przyjmują słowo. Ale ci korzenia nie mają, wierzą do czasu, a w chwili próby ustępują. To znowu, które padło między ciernie, oznacza tych, którzy posłyszeli, ale odchodząc, przez troski, bogactwa i rozkosze życia są przyguszeni i nie przynoszą owocu. Które jednak upadło na ziemię dobrą, oznacza tych, którzy w dobrym i szczerym sercu zachowują słowo i owoc przynoszą w wytrwałości.

Owoc wytrwałości

Jak przed tygodniem, w pierwszej niedzielę Przedpościa, tak i dzisiaj w szesćdziesiątnicę, Słowo Pańskie przynosi nam przypowieść dotyczącą Królestwa Bożego. Jeśli sens obrazu o powołaniu robotników do Winnicy Pańskiej musieliśmy odkrywać sami rozumem i sercem, to w dzisiejszej ewangelii Chrystus ułatwia nam zadanie. Opowiadawszy przypowieść o siewcy wyjaśnia ją tak dokładnie, że przyswojenie sobie treści nie nastreca już większych trudności. Nie znaczy to jednak, że od razu pojmujemy głębię nauki Zbawiciela o Królestwie niebieskim. Treści te nie dały się zamknąć w jednym porównaniu. Do zilustrowania i przybliżenia wiernym przebogatej, nadprzyrodzonej wiedzy o przeznaczeniu człowieka do życia z Bogiem, użył Chrystus wielu przypowieści i prawdopodobnie musiał swoim uczniom dawać wykładnię każdej z nich, tak jak to mamy zanotowane przez św. Łukasza we fragmencie czytany dzisiaj. „Wam dane jest poznać tajemnicę Królestwa Bożego”. Każda przypowieść przynosiła sobą poszerzenie rozumienia spraw nadprzyrodzonych, ale nie przynosiła wszystkim ludziom. Byli i są tacy słuchacze i czytelnicy Ewangelii, którzy słyszą tylko samą przypowieść i patrzą na obraz, ale nie potrafią zrozumieć sensu i dostrzec Bożej głębi. Patrzą, a nie widzą, słuchają, a nie rozumią. Czemu się tak dzieje? Czemu nie wszystkim jednakowo jawi się Królestwo niebieskie? Czy Bóg nie czyni krzywdy tym ludziom, którym nie jest dane zrozumienie, a tylko sama przypowieść? Rozwiązanie tych wątpliwości przynosi dzisiejszy obraz. Rolnik nie rzuci ziarna na drogę albo na kamienie czy między ciernie, bo wie, że taki siew

to tylko marnowanie ziarna. Chleb na drodze ani na kamieniu nie urośnie. Siewca Boży ryzykuje, by dać wszystkim rodzajom serc ludzkich jednakową szansę. Nie w Bogu więc ani nie w ziarnie należy szukać przyczyny tego, że część wysiłku idzie na marne i to wysiłku samego Boga. Słota na sprawę nadprzyrodzone tkwi w człowieku. To człowiek czyni swoje serce twardym jak kamień, otwartym jak droga, po której stąpać może każdy, czy wreszcie żywym jak urodzajny czarnoziem. Od nas samych zależy, czy w ogrodzie naszej duszy wszędzie i zakorzeni się oraz wyda owoc Boże ziarno, czy też zagłuszą je ciernie i osty albo wyrwie szatan. Ziarno i gleba. Słowo i serce.

„Ziarno to Słowo Boże” — tłumaczy Zbawiciel. Od powołania do bytu rodzaju ludzkiego aż dotąd, Bóg nigdy nie przestał przemawiać do człowieka. Dialog z nami prowadzi poprzez głos sumienia, który nam mówi, co dobre a co złe, co należy czynić a czego unikać. Słowem Bożym w najszerszym znaczeniu jest cała otaczająca nas przyroda, tak martwa jak też ożywiona. Dla wielu szerokich umysłów różnorakie formy życia na ziemi były i są źródłem wiary w istnienie Boga. Jan Kasprzowicz, urzeczony żywotnością karłowatej sosny, cudem żyjącej na szczycie tatrzańskich gran, której korzenie zdają się wrastać w skałę i z niej czerpać soki, wypowiada wierszem swoje wyznanie wiary:

„Ta jedna licha drzewina,
nie trzeba dębów tysięcy,
z szepciem się do mnie przygina:
Jest Bóg i czegoś ci więcej”

Wreszcie rzeczywiste słowo usłyszał człowiek wielokrotnie z ust samego Stwórcy, czy też Jego wysłanników. Dopełnienia i zamknięcia Objawienia dokonał Chrystus i Jego Apostołowie. „Bóg, który niegdyś przemawiał do ojców wielokrotnie i w różny sposób przez proroków, w tych czasach ostatecznych przemówił do nas przez Syna” — stwierdza list do Hebrajczyków na samym wstępie. Słowo Syna brzmieć będzie odtąd po wszystkie czasy aż do skończenia świata, wszędzie tam, gdzie dotrą wybrani przez Mistrza siewcy. Wszak do wszystkich kapłanów odnosi się rozkaz Pana: „Idąc tedy nauczajcie”. Szerzej jednak o Słowie Bożym i Jego głosicielach w innej homilii. Dziś jeszcze o glebach serc i owocu płynących z posłuszeństwa słowu w cierpliwości.

Zbawiciel dzieli dusze ludzkie na dwie grupy, po trzy gatunki w każdej z grup. Grupa serc jałowych, to ludzie obojętni, nie przywiązujący większej wagi do spraw Królestwa Bożego. Takim nie musi wydierać ziaren prawdy sam diabeł. Oni jeszcze nie wierzą, więc pozwalają wyrwać sobie zasiew każdemu, kto zechce to zrobić. Nie rokuje nadziei na zakorzenienie się świętego ziarna serce suche, twarde jak kamień. Również gleba zachwaszczona nie pozwoli rozwinąć się szlachetnej i delikatnej roślinie wiary i moralności. Dopiero druga grupa gleb wynagrodzi trud Siewcy. Czynimy wszystko, by nasze serce stało się glebą urodzajną. Jeśli dotąd było suche i kamieniste, usuwajmy glazy i zainstalujmy nawilżanie, podając je pod deszcz łask Bożych. Jeśli mamy wewnątrz duchowe zachwaszczone nałogami i grzechami, które utrudniają wzrost nadprzyrodzonej rośliny, zastosujmy duchowe środki chwastobójcze i pielęgnacyjne, by klasa gleby podniosła się i nabyła zdolności przynoszenia duchowego owocu.

Nie jest łatwo przygotować glebę pod zasiew. Zabiegi pielęgnacyjne musi rolnik powtarzać wielokrotnie. Jeszcze trudniej z glebą duchową. Wymaga bowiem bez porównania więcej pracy i to pracy mądrej, spokojnej, i długoterminowej. Na plon pszeniczny rolnik czeka najwyżej rok. Sadownik na pierwsze jabłka czekać musi już od pięciu do siedmiu lat, zaś na obfity plon duchowy w duszy ludzkiej trzeba niekiedy czekać całe życie. I tu leży cała trudność. Nie ma chyba człowieka, który zetknąwszy się z nauką Chrystusa nie okazałby dla niej zainteresowania. Niestety, bardzo szybko przychodzi zniechęcenie, bo albo wymogi wydają się zbyt twarde albo na plon przychodzi czekać zbyt długo. Na tak zniechęconym sercu ziarno Bożej prawdy nie robi już wrażenia. I to jest najsmutniejsze. Jak temu przeciwdziałać? Co robić, by zapal nie wygasł, by nie zrażały nas niepowodzenia, upadki, czyli po prostu słabe efekty naszych zabiegów duchowych? Trzeba zapatrzeć się w rolnika i za jego wzorem umieć cierpliwie czekać. Musimy nauczyć się cierpliwości. Pedagogiem jest cierpienie.

W poetycznej opowieści na temat cierpienia, noszącej miano Księgi Hioba, szatan zarzuca Bogu nadmierną troskę o Hioba. Jakże nie będzie ci wiernie służył, skoro chronisz go przed najmniejszym cierpieniem? „Czyż nie ogrodziłeś go i domu jego i wszystkiej majątności jego wokoło?” (Hiob 1,9). Bóg pozwala szatanowi na udręczenie umiłowanego sługi, by nie stracił ani wiary, ani miłości ku Stwórcy, bo był cierpliwy. Gdyby nasze doświadczenia życiowe miały być podobne do tych opisanych w Księdze Hioba, jeśli chcemy zasłużyć na miano uczniów Chrystusa, musimy znieść je cierpliwie. Święty Paweł w drugim Liście do Tymoteusza mówi: „Wszyscy, którzy chcą żyć pobożnie w Chrystusie Jezusie, przesładowanie cierpieć będą” (II Tm 3, 12).

Zbliża się czas postu — sposobna pora ćwiczenia się w cierpliwości. Pan Jezus obiecał: „W cierpliwości posiadacie dusze wasze”. Zachowanie duszy na żywot wieczny — to owoc wart największego wysiłku i cierpliwości.

Ks. A.B.

NOWOROCZNE SPOTKANIE KOŚCIOŁÓW I ZWIĄZKÓW RELIGIJNYCH NIERZYMSKOKATOLICKICH w Urzędzie Rady Ministrów

Jak poinformował dziennik „Rzeczpospolita”, w Urzędzie Rady Ministrów odbyło się 27 grudnia 1984 r. tradycyjne doroczne spotkanie zwierzchników Kościołów i związków religijnych nierzymskokatolickich. Ze strony Kościoła Polskokatolickiego w spotkaniu udział wzięli: zwierzchnik Kościoła — bp Tadeusz R. Majewski i prezes ZG Społecznego Towarzystwa Polskich Katolików — bp dr Wiktor Wysoczański. W spotkaniu uczestniczyli także seniorzy polskiego ruchu ekumenicznego. Rolę gospodarza pełnił wiceprezes Rady Ministrów, Mieczysław F. Rakowski.

M. F. Rakowski dokonał wprowadzenia do dyskusji, w którym przekazał wyrazy uznania i szacunku z okazji Nowego Roku. Kościoły, którym przewodnicze — stwierdził mówca — w upływającym roku wykazały wysoki stopień patriotyzmu i zrozumienia dla polskiej racji stanu. Z tego rozumienia rodziły się postawy obywatelskie, owocujące korzystną dla jednostki i społeczeństwa pracą. Postawy takie są potrzebne w każdej sytuacji państwa, ale stają się szczególnie pożądane w czasach trudnych, a w takich przecież żyjemy. Nie można też nie dostrzec pozytywnej roli, jaką przywódcy wspólnot religijnych, Kościołów i związków odgrywają w życiu międzynarodowym. Nie można nie dostrzegać ich aktywnego udziału w staraniach na rzecz utrwalenia pokoju na świecie i umacniania zaufania międzynarodowego.

Wicepremier dokonał oceny politycznej upływającego roku. Wyróżnił ograniczenia i uwarunkowania długofalowe sytuacji. Należą do nich m. in. wyraźna, pozytywna różnica między bytem ludności na jesieni 1981 roku i dziś, pewne zakodowanie świadomości istnienia kryzysu w ludzkich psychikach, oddziaływanie czynników dywersji politycznej tak wewnętrznych, jak zewnętrznych, nasza obecna sytuacja gospodarcza, wyraźnie ulegająca poprawie. Prócz nich istnieją czynniki krótkoterminowe, kształtujące społeczne nastroje i odczucia, jak np. rosnące obawy przed podwyżkami cen. Spokojna, szybka i rzeczowa reakcja władz na porwanie i zabójstwo ks. Popiełuszki nie dopuściła do wewnętrznego rozbicia narodu, do wykorzystania tego faktu dla siania politycznego fermentu. Pozytywny był też oddźwięk na spotkaniu premiera gen. W. Jaruzelskiego z dziennikarzami po konferencji w Jabłonie. Kolejnym czynnikiem jest postępujące przelamywanie izolacji Polski w świecie i poprawa stosunków z krajami socjalistycznymi.

Wicepremier omówił sytuację wewnętrzną kraju, nie ukrywając kłopotów i znaków zapytania.

Nasz program walki i porozumienia realizujemy konsekwentnie, a to osłabia przeciwników socjalizmu. Chcemy współdziałać — i czynimy to w praktyce — z każdym, kto pragnie szczerze i uczciwie pracować dla dobra kraju. Ale nie będziemy prowadzić dialogu z tymi ludźmi, którzy proponowany w porę dialog cynicznie i świadomie odrzucali, pchając kraj ku otchłani.

Stwierdził, iż mijający rok przyniósł dalsze przejawy umacniania się procesu normalizacji w kraju, czego najdobitniejszym przejawem był wynik wyborów do rad narodowych. Drugim pozytywnym osiągnięciem polityki walki i porozumienia była szeroka amnestia, która zaskoczyła świat. Obecnie notujemy też poprawę sytuacji gospodarczej — wzrost produkcji o ok. 4,5 procent, dobre zbiory w rolnictwie. W większości społeczeństwa występuje pragnienie

spokoju i poprawy we wszystkich dziedzinach życia. Nasza polityka po 13 grudnia 1981 r. jest w tej mierze skuteczna i jedynie realistyczna — stwierdził mówca.

W imieniu Polskiej Rady Ekumenicznej głos zabrał ks. Janusz Narzyński, biskup Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, prezes Rady. Stwierdził on m. in., że Kościoły członkowskie Polskiej Rady Ekumenicznej już przed 40 laty odrzuciły drogę opozycji i walki z socjalistycznym państwem. Z drugiej strony odrzuciły też koncepcję getta i izolacji. Nic dziwnego, że Kościoły te wybrały drogę dynamicznej lojalności i służby narodowi i społeczeństwu. „Dlatego dzisiaj, z naszymi braćmi — proszę mi darować to określenie — marksistami uważamy, że interes Polski wymaga rozwoju aktywności ogółu wszystkich obywateli również wierzących i niewierzących”. — Podobne myśli zawiera dokument końcowy Krajowej Kon-

polskiej formacji kościelnej, a wraz z upadkiem aliansu tronu i ołtarza zwyciężona też została pokusa monizmu konfesyjnego. Stosunki między państwem a Kościołem potwierdzają, że pluralizm konfesyjny i światopoglądowy jest w naszym kraju konkretną rzeczywistością. I nie ma tylko formalnego charakteru. „Pragnę wyrazić uznanie władzom państwowym — stwierdził biskup Narzyński — za konsekwentne przestrzeganie zasady, aby nikt, jak to kiedyś powiedział jeden z pisarzy XVI wieku, pod pokrywką religii nie wynajdował powodów do siania zamętu w Rzeczypospolitej”. Zasada ta sprzyja dialogowi i współdziałaniu wierzących i niewierzących. Wszyscy jesteśmy odpowiedzialnymi za tego samego człowieka i za ten sam świat. Dlatego uczestniczymy w PRON, stwarzającym szeroką płaszczyznę dla naszej współpracy w jego szeregach.

Ks. biskup Sawa Hrycuniak, ordynariusz



ferencji Delegatów PZPR, który mówca cytował, Kościół jest integralną częścią tego świata, jest wspólnotą posłaną i powołaną do służby w świecie. Zgodnie z wolą Bożą zadaniem Kościoła jest zachowanie, ocalenie życia, pokoju i ładu. Mandat ten realizujemy we współpracy z ludźmi, którzy nie są chrześcijanami — tego nas uczy teologia służby, w której nasze Kościoły w krajach socjalistycznych znalazły swoją tożsamość — stwierdził mówca. „Chcemy i powinniśmy służyć w socjalistycznym społeczeństwie traktować jako mandat powierzony nam i zlecony przez Boga. Oczywiście — taka koncepcja diakonii i służby nie ma nic wspólnego z jakimś oportunistycznym przystosowaniem się, z adaptacją i z bezkrytyczną akceptacją ideologicznych zasad marksistowskiego socjalizmu. Zasadnicze różnice w sferze filozoficznej i światopoglądowej wykluczają wszelkie kompromisy, wykluczają też wszelki elektyzm i synkretyzm ideologiczny”. Niemniej każdy chrześcijanin powinien żyć dla innych ludzi.

Mówca podkreślił też pluralizm światopoglądowy i konfesyjny obecnego spotkania. Pluralizm religijny był od wieków cecha

Diecezji Białostockiej i Gdańskiej, kierownik Sekcji Prawosławnej ChAT podkreślił wagę takich spotkań jak obecne. W odczuciu hierarchii i wiernych Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego bilans 40-lecia Polski Ludowej jest wielce pozytywny. Z powojennych zgliszcz wyłoniła się w nowej konfiguracji państwowości polska. Dzięki właściwemu wyborowi politycznemu wówczas, możemy dziś mówić o stałym choć trudnym procesie rozwoju i rozbudowy narodu i państwa. Lata 1980—82 były dla Polski latami dramatycznymi, a mogły być i tragicznymi. Dzięki przemysłowej i konsekwentnej polityce władz PRL i dzięki zdrowej większości społeczeństwa wracamy z wiarą w nowe dni, w lepsze jutro nas wszystkich — stwierdził mówca.

Podkreślił wagę walki o pokój, w której aktywnie uczestniczy polski Kościół prawosławny. Uczestniczył on i uczestniczy w wielkich, historycznych osiągnięciach Polski Ludowej. Wkład ten płynie z przykazań Chrystusa, by jedni służyli drugim w miło-

cd. na s. 4

ści, w duchu prawdy w trudzie i modlitwie. Taka jest zasada Kościoła prawosławnego i jego społeczna służba.

W Polsce Ludowej nastąpił rozdział Kościoła od państwa, co zapewniło równy status wszystkim Kościołom i wyznaniam, posłużyło to złagodzeniu antagonizmów. „Polska Ludowa stała się krajem wolności sumienia i wyznania” — stwierdził mówca. „Dlatego też uważamy, że znane przypadki, mające miejsce w naszych szkołach w ostatnim czasie, są szkodliwe dla Kościoła i ładu społecznego. Postawa taka jest obca duchowi i misji naszego Kościoła”.

Osiągnięcia to uregulowanie statusu Kościoła, otwarcie nowych seminariów duchownych, sekcji prawosławnej ChAT. Absolwenci tych szkół to 90 procent naszego duchowieństwa. Transmisowanie naszych nabożeństw w radiu ma duże znaczenie dla naszego Kościoła. Wybudowano nowe świątynie w Rudku, Hajnówce, Białymstoku, Starosielcach, Kuźnicy, Lipinach i in. Powstaje największa świątynia św. Ducha w Białymstoku.

Ks. dr Stanisław Dąbrowski, przewodniczący Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego w PRL wyraził zadowolenie z warunków rozwoju wspólnot chrześcijańskich w Polsce. „Cieszymy się z nowego stylu pracy rządu, czego dowodem jest nasze dzisiejsze spotkanie, z bezpośredniego kontaktu z każdym obywatelem bez względu na jego wyznanie czy przekonania”. Kościół nasz szczególnie uroczyście obchodził 40-lecie PRL. Odbyła się w Krakowie uroczystość z udziałem ok. 1,5 tys. wyznawców z okazji obrad Wydziału Północnoeuropejskiego, którego posiedzenie po raz pierwszy odbyło się w Polsce. Ustawodawstwo PRL — od PKWN, przez uchwalenie ustawy zasadniczej, dekretu o wolności sumienia i wyznania, prawnego uznania naszego Kościoła — to nowy zwrot w historii naszej wspólnoty. „Podtrzymujemy w naszych rozmyślaniach i w naszym zwiastowaniu świeckość szkoły. Pamiętamy okres międzywojenny, kiedy to w szkołach nasze dzieci były dyskryminowane, kiedy nasza młodzież i nasi współwyznawcy byli nazywani obywatelami drugiej kategorii. Doceniliśmy te przemiany ustrojowe”. Gdy uczestniczyliśmy w Rzymie w II Kongresie w sprawie wolności religijnej i przekonani, traktowano nasz przykład jako wzór regulacji prawnych zapewniających wolność religijną dla innych krajów. Te zasady także przyczyniają się do wychodzenia Polski z międzynarodowej izolacji.

Ks. Adam Kuczma, superintendent naczelny Kościoła Metodystycznego w PRL, członek Prezydium Polskiej Rady Ekumenicznej powiedział m. in., że zrozumienie

sytuacji w Polsce jest dla metodystów sprawą bardzo ważną. Kościół ten działa już 200 lat w Polsce — 63 lata. Znany jest głównie ze szkoły jęz. angielskiego, której nowe filie będą otwierane w Gliwicach i Katowicach. Ważne jest dla Kościoła metodystycznego działanie na rzecz zachowania pokoju. Duchowni uczestniczą w wielu akcjach społecznych, w PRON, prowadzi się działania na rzecz porozumienia narodowego — to „owe maleńskie cegiełki, które wnosimy do naszego narodowego skarbcza”. Wszystko, co polskie nie jest nam obce. I nasze modlitwy, nasze kościelne nauczanie jest skierowane ku lepszej przyszłości naszej ojczyzny”. Mówca stwierdził, że uczestnicząc w religijnych kontaktach międzynarodowych metodysty mają możliwość zapoznania Zachodu bezpośrednio z polskimi problemami. Ważne jest zachowanie świeckich szkół. Przed wojną byłem prześladowany za inność mojej wiary. Nie chciałbym, by dziś dzieci cierpiały z tego powodu. Dotyczy to też symboli religijnych — powinny one być na swoim miejscu. „Oglądając program telewizyjny z Włoszczowej doszedłem do wniosku, że to ogromna profanacja tego, co my uważamy za święte”.

Szymon Danter, członek Prezydium Zarządu Głównego Związku Religijnego Wyznania Mołdziejowego w PRL. 43 lata temu przeszła przez Europę i przez Polskę burza dziejowa, w której w zbrodniczym współdziałaniu Wehrmachtu, SS i władz policyjnych niemieckich zostało zgładzonych 3,2 mln Żydów polskich, w tym milion dzieci. Tragedia ta znalazła echo w sercach i umysłach polskich. 40 lat temu w historycznym Maniście Lipcowym PKWN ogłoszono m. in., że Żydom bestialsko tępiącym przez okupanta, zapewniona będzie pomoc w odbudowie ich egzystencji i całkowite prawne i faktyczne równouprawnienie. Ta garść Żydów, żyjąca obecnie w granicach PRL, to w połowie weterani. Weterani wojenni, byli żołnierze września, byli żołnierze I i II Armii WP, ludzie, którzy walczyli i pod Lenino, pod Dęblinem i Puławami, którzy wyzwalali Pragę, którzy nieśli pomoc, razem ze swoimi polskimi towarzyszami broni, walczącej powstańczej Warszawie. Ich pragnieniem jest spokój i bezpieczeństwo wewnętrzne. Na zewnątrz pragną współdziałania w podniesieniu znaczenia Polski Ludowej na arenie międzynarodowej. Imię Polski musi być wymawiane wszędzie z czcią i szacunkiem należnym wielkiemu narodowi. Wielkiemu wolnościowemu tradycjami, tolerancją historyczną.

Stefan Bajraszewski — wiceprzewodniczący Kolegium Muzułmańskiego Związku Religijnego w PRL złożył wyrazy szacunku i życzenia noworoczne. Stwierdził, iż rok 1984 był znamienny dla polskich wyznawców islamu. Po raz pierwszy od 192 lat pol-

scy muzułmanie przystąpili do budowy nowego meczetu w Gdańsku. To jeden z nielicznych meczetów budowanych w krajach socjalistycznych z Chinami włącznie. Na tle tego faktu mogliśmy jeszcze raz przekonać się — powiedział mówca — o przychylności społeczeństwa polskiego i władz państwowych dla naszej nielicznej wspólnoty wyznaniowej. „Polscy muzułmanie w kontaktach międzynarodowych podkreślają polskie tradycje tolerancji religijnej. Dziś jest to powszechnie stosowane.

Wysoko cenimy fakt tolerancyjnego stosunku władz do naszego związku wyznaniowego, pomimo że islam w stopniu większym niż jakiegokolwiek inne wyznanie ma ideologię sprzeczną z ideologią marksistowską”.

Na zakończenie dyskusji, z gorącym podziękowaniem dla władz PRL i osobistymi pozdrowieniami dla Wojciecha Jaruzelskiego zwrócił się arcybiskup Bazyli Doroszkiewicz, prawosławny metropolita warszawski i całej Polski. Jesteśmy przede wszystkim ludźmi — powiedział — nie dzielimy się na wierzących i niewierzących. Naszym ewangelicznym obowiązkiem jest przeciwstawienie się wszelkiej nienawiści i budowanie pokoju.

Następnie uczestnicy spotkania zadawali wicepremierowi pytania w sprawach szczegółowych. Na zakończenie wicepremier M. Rakowski powiedział m. in.:

Serdecznie dziękuję za życzenia noworoczne dla gen. W. Jaruzelskiego, dla członków rządu. Chcę podziękować też za modlitwy, które za wspólną pomyślność są wznoszone. Podkreślano tu konieczność zachowania osobowości jednostki i osobowości narodu. Nie można nam zarzucić, że gwałcimy lub nie doceniamy osobowości jednostki. Znajduje to wyraz w przestrzeganiu konstytucyjnych zapisów o wolności wyznania i sumienia. Z tego może wynikać zagadnienie suwerenności i jednostki i narodu. Pilnie dbamy, by suwerenność jednostki nie była pustym dźwiękiem, by nie była naruszana w sferze praworządności i obyczajów politycznych, codziennego stosunku do człowieka. Suwerenność jednostki musi być jednak podporządkowana suwerenności narodowej i jej celom. Nie może każdy czuć się niezależnym i samorządnym — każdy musi podporządkować się środowisku, w którym działa organizacja, do której należy, czy Kościół, w którego murach przebywa.

Z tak rozumianej suwerenności wynika etyka dialogu, który ma zwiększać liczbę tych Polaków, którzy chcą w tym trudnym czasie czynić wiele dla poprawy. Czy stać nas na taki dialog? Sądzę, że tak — stwierdził wicepremier. Dzisiejsze spotkanie także będzie chyba służyć tym celom nadrzędnym.



Uroczysta akademія z okazji 25-lecia Zakładów Przemysłowo-Uslugowych „POLKAT” — Zakładu Robót Antykorozyjnych i Izolacyjnych z Warszawy Zakładu Mechaniczno-Elektronicznego z Leszna

Równolegle z jubileuszem Społecznego Towarzystwa Polskich Katolików obchodzony był także srebrny jubileusz Zakładów Przemysłowo-Uslugowych „POLKAT”.

Z tej właśnie okazji odbyła się 8 grudnia, w jednej z sal reprezentacyjnych PKiN, uroczysta akademія. Uczestniczyli w niej: Dyrekcja Naczelna Zakładów z dyrektorem inż. Krzysztofem Gawlickim oraz dyrektorzy i pracownicy warszawskiego Zakładu Robót Antykorozyjnych i Izolacyjnych „Polkat” oraz leszeńskiego Zakładu Mechaniczno-Elektronicznego.

W spotkaniu jubileuszowym obecni byli również przedstawiciele stołecznych władz — Naczelnik Urzędu Warszawa-Śródmieście, mgr A. Zawadzki, oraz dyrektorzy ze współpracujących w terenie z Zakładami „Polkat” przedsiębiorstw.

Spotkanie otworzył dyrektor naczelny Zakładu Robót Antykorozyjnych i Izolacyjnych, inż. Stanisław Sikorski, który powitał wszystkich zgromadzonych gości, po czym przypominał niełatwą drogę zakładu na przestrzeni dwudziestu pięciu lat ich istnienia. Kończąc, mówca odczytał listę zasłużonych pracowników Zakładów „Polkat”, odznaczonych z uchwały Rady Państwa złotymi i srebrnymi Krzyżami Zasługi oraz medalami regionalnymi.

Dyrektor, inż. Stanisław Sikorski wyrażając na zakończenie uznanie dla całej załogi zakładu, podziękował wszystkim za dotychczasowe osiągnięcia.

Kolejnym mówcą był dyrektor naczelny Zakładu Elektryczno-Mechanicznego w Lesznie, mgr inż. Wojciech Siwek. Podobnie jak jego poprzednik przypominał on pierwsze kroki zakładu, które przypadły na początek lat sześćdziesiątych. Mówił o brakach lokalowych i kadrowych, z jakimi musiał uporać się zakład w pierwszych latach swego istnienia. Tym cenniejsze są dziś osiągnięcia ZM-E i możliwości dalszego rozwoju, które wiąże z produkcją eksportową, głównie do Francji. Wiele nadziei wiąże też dyrekcja i pracownicy zakładu z dalszą jego rozbudową. W tym celu poczynione już zostały pewne starania w celu uzyskania nowych terenów w rejonie gminy Leszno.

Wyrażając podziękowanie załodze oraz bratniemu Zakładowi Robót Antykorozyjnych i Izolacyjnych, mówca oddał głos dyrektorowi naczelnemu Zakładów Przemysłowo-Uslugowych „Polkat”, inż. Krzysztofowi Gawlickiemu.

Dyrektor Gawlicki podzielił się refleksjami i spostrzeżeniami, jakie poczynił sprawując funkcję dyrektora na przestrzeni ostatnich czterech lat. Nakreślił przyszłą drogę rozwoju zakładów, przypominając jednocześnie wielki wkład środków wniesiony przez Zarząd Główny STPK w rozwój „Polkatu”. Mówił też o zrozumieniu, z jakim potrzeby zakładów spotykają się ze strony STPK, a także o pracy ludzi, którzy tak wiele wnoszą trudu. By rozwój zakładów był jak najpomyślniejszy.

Kończąc, mówca przekazał życzenia i podziękowania załogom, ich rodzinom, a także władzom politycznym i administracyjnym za zrozumienie teraźniejszych i przyszłych potrzeb zakładów.

W dalszej części spotkania dr Stanisława Guskowska z ZG STPK wyraziła podziękowanie dyrekcji naczelnej i kierownictwu Zakładów „Polkat” za pracę, trud, „za wszystko, do czego doszliśmy” przekazała też w imieniu nieobecnego (z powodu choroby) prezesa Zarządu Głównego STPK, bpa dra Wiktora Wysoczańskiego życzenia wszelkiej pomyślności dla dyrekcji i pracowników, życzenia dalszej owocnej pracy.

Bezpośrednio potem nastąpiła uroczysta dekoracja odznaczeniami państwowymi zasłużonych pracowników.

Dekoracji dokonał naczelnik dzielnicy Warszawa-Śródmieście, mgr A. Zawadzki.

W dalszej kolejności wręczone zostały dyplomy i odznaczenia polkatowskie, regionalne oraz listy pochwalne przyznane przez ZG STPK.

W imieniu odznaczonych za okazaną życzliwość i uznanie podziękował przedstawiciel oddziału łódzkiego „Polkat”, pan Tasiński. Przekazał on również najlepsze życzenia dla prezesa Zarządu Głównego STPK, bpa dra W. Wysoczańskiego.

Odczytane zostały ponadto skierowane do kierownictwa „Polkatu” listy od: władz administracyjnych Leszna, I sekretarza PZPR gminy Leszno oraz słowa uznania dla dyrekcji „Polkatu” od dyrekcji Zakładów Metalurgicznych w Lublinie.

Na zakończenie głos zabrał raz jeszcze dyrektor naczelny Zakładów Przemysłowo-Uslugowych „Polkat”, inż. K. Gawlicki. „Szczera jestem wzruszony — powiedział — tymi wszystkimi wyrazami uznania, jakie zostały mi tu dzisiaj przekazane”. Po czym jeszcze raz podziękował za nie w imieniu własnym i załogi.

Zamknięcia części oficjalnej dokonał inż. Stanisław Sikorski, dyrektor warszawskich ZRAiI „Polkat”.

Uroczystą akademię zakończyła lampka szampana, wzniesiona za pomyślność zakładów, dyrekcji, pracowników i ich rodzin.

ELŻBIETA DOMAŃSKA

MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (917)

w opracowaniu bpa M. RODEGO

S

uczony, mianowicie: Karol Braudlaugh (ur. 1833, zm. 1891). Łącznie głosili oni, chociaż nie bezpośrednio i wyraźnie swego rodzaju → ateizm, konieczność a zarazem i jedynie uzasadnioną celowość zajmowania się tylko sprawami aktualnymi w danym wieku i dla danego wieku oraz wypracowywania najlepszych zasad zgodnego i szczęśliwego wzajemnego współżycia ludzi (po łac. wiek = saeculum, stąd nazwa — sekularyzm i sekularyści). Uznawali jednak i zalecali praktykowanie uroczystego, nawet z ustalonym ceremoniałem, obchodzenia narodzin, uroczystego nadawania niemowlętom imienia, czczenia rocznic ślubów, i rocznic innych pamiętnych indywidualnie czy zwłaszcza społecznie rocznic wydarzeń, zebrań członków stowarzyszenia sekularystów (ang. Secular Society), a również odbywania pogrzebów. Podkreślić jeszcze trzeba, że Holyoake był też redaktorem czasopism. The Reasner (czyli Rezoner) i Secular Review (czyli Przegląd Sekularystyczny), oraz był autorem również książek z dziedziny spótdzielczości. Natomiast Faustyn Holyoake opracował właśnie rytuał obchodzenia i czczenia wymienionych wyżej niektórych wydarzeń, rocznic, jubileuszy i in. pt. *Rituale Holyoakense sive Hierurgia saecularis* (łac.), czyli *Rytuał albo liturgia sekularystyczna* (n. świecka).

Sekundycja — (łac. secundus, a, um = drugi, następny, a, e) — to w Kościele Katolickim od dawna nazwa Mszy św. i sama Msza św. wraz ze związanymi z nią uroczystościami, którą odprawia kapłan katolicki w pięćdziesiąt rocznicę przyjęcia sakramentu kapłaństwa. W ostatnich czasach uroczystość tę nazywa się też częściej złotym jubileuszem kapłańskim (może lepiej: kapłaństwa). Sekundycja jest niewątpliwie nawiązaniem do — prymicji (czyli pierwszej Mszy św. celebrowanej przez nowowyświęconego kapłana katolickiego, czyli neoprezbitera).

Sekwencja — (łac. sequens = następujący po...) — to nazwa religijnego utworu poetyckiego, odmawianego lub śpiewanego (śpiewanego przez chór) w niektórych Mszach św. w Kościele Katolickim. Spośród wielu sekwencji najbardziej znanymi są: Victimae Paschali — na Zmartwychwstanie Pańskie, Veni Sancte Spiritus — na Zesłanie Ducha św. (Zielone Świątki), Lauda Sion Salvatore — na Boże Ciało, Stabat Mater Dolorosa — na uroczystość Matki Boskiej Bolesnej, Dies irae — w czasie Mszy św. żałobnych. Sekwencje były czy są śpiewane lub mówione po Lekcji a przed Ewangelią.

Sem — to imię (hebr. Szem) — jednego z trzech synów — Noego. Ten, chyba najstarszy syn Noego (pozostali mieli na imię: → Cham i → Jafet), został przez narody semickie uznany za ich (swojego) protoplastę, czyli tego, który dał im początek.

Semeneńko Piotr Adolf Konstanty — (ur. 1814, zm. 1886) — działacz polityczny, teolog, ks., oraz współorganizator wraz z Bogdanem Jańskim i → ks. Hieronimem Kajsiwiczem zakonu → zmartwychwstańców. Urodził się w Dzieciolowie (woj. białostockie) jako syn Mikołaja, wyznania prawosławnego, i Anny Zielińskiej, wyznania protestanckiego. Ochrzczony jednak w kościele rzymskokatolickim w Dolistowie Starym. W czasie jego studiów w Wilnie wybuchło powstanie listopadowe, do którego czynnie się przyłączył. W 1832 roku wraz z innymi polskimi oddziałami powstańczymi przedostał się do Francji. Tu rozwinął ożywioną działalność polityczną, zwłaszcza w ramach Towarzystwa Demokratycznego Polskiego i Postępu; w tym też czasie uważał siebie za niewierzącego. Pod wpływem jednak przede wszystkim Bogdana Jańskiego (ur. 1807, zm. 1840), głośnego wtedy i cenionego publicystę, polityka, in-

Z zagadnień etyki chrześcijańskiej

UŚMIECH FORTUNY

Zajmujemy się sposobami pozyskiwania dóbr materialnych. W poprzedniej gawędzie omówiliśmy tzw. pierwotne metody: zajęcie dóbr niczych, przyrost, a zwłaszcza pracę. W dobie dzisiejszej jest ona najpowszechniejszym źródłem zdobywania dóbr materialnych. Jest to zarazem metoda najbardziej godna człowieka i dająca największą moralną satysfakcję. Własność uzyskana pracą sprawia, że człowiek szanuje to, co zdobył i czuje się — w najpełniejszym tego słowa znaczeniu — właścicielem. Dziś omówimy cały szereg sposobów wtórnych, jakby drugorzędnych, takich które wymagają mniej wysiłku, ale też w świetle etyki chrześcijańskiej są jeszcze legalne, lecz już nie przysparzają darów nadprzyrodzonych, czyli zasług na niebo. A jednak

niżej omawiane sposoby, a przynajmniej niektóre z nich, ludzie nazywają po prostu „szczęściem” i dlatego tytuł naszej dzisiejszej gawędy zaczerpnąłem ze słownictwa tych, którym wszelkie materialne wartości przyszły bez wysiłku, albo przy staraniach niewspółmiernych do wielkości zyskanego dobra.

Do często wśród ludzi zdurzających się „uśmiechów fortuny” należy: dziedziczenie, darowizna, zasiedzenie, handel, procent i gry pieniężne.

1) **Dziedziczenie** nosi też nazwę spadku. Prawo do dziedziczenia daje przede wszystkim pokrewieństwo i powinowactwo. Dobra zmarłego małżonka dziedziczy pozostały przy życiu współmałżonek, majątek rodziców przechodzi na dzieci i wnuków. Ogólne zasady dziedziczenia ujęte są w prawie spadkowym, a szczegółowe rozporządzenia, wydane przez właściciela przed jego śmiercią, nazywają się testamentem lub ostatnią wolą. Twórca testamentu powinien radzić się sumienia, by komuś nie wyrządzić krzywdy przez pozbawienie prawa do spadku. Dzieci natomiast powinny uszanować testament rodziców nawet wówczas, gdy nie jest doskonały. Procesy spadkowe, w czasie których dzieci łamią ostatnią wolę rodziców, a często poniewierają ich dobre imię, nie powinny mieć miejsca wśród wyznawców Chrystusa. Gdyby nam rodzice nie zostawili na-

wet jednej złotówki, to jeśli jesteśmy zdrowi i zdadni do pracy, nic nam się materialnego od nich nie należy.

2) **Darowizna** to przekazanie drugiemu człowiekowi lub instytucji jakiegoś dobra. Każdy, kto jest właścicielem ma prawo darowania tego, co stanowiło jego własność. Nie można obdarowywać znajomych i przyjaciół walorami, które nie stanowią naszej osobistej własności. Dziecku nie wolno, bez pytania o zgodę rodziców, kupować dla kolegów czy koleżanek drogich upominków imienninowych, chyba że sumę na ten cel tworzą własne oszczędności. Darowizna może dotyczyć długów. Wierzyciel ma prawo dobrowolnie zrezygnować z tego, co mu jesteśmy dłużni. Darujący zyskuje miano dobroczyńców. Największym naszym dobroczyńcą jest Bóg.

3) **Zasiedzeniem** nazywamy nabycie prawa własności do dobra, na podstawie długiego władania tym majątkiem, w przekonaniu, że poprzedni właściciel porzucił to dobro. Czas potrzebny do zasiedzenia określa prawo państwowe. Nie podlega zasiedzeniu dobro zdobyte i trzymane w złej wierze, tzn. wbrew woli poprzedniego, prawowitego posiadacza. Znalazłem cudzy portfel, wiem czyj jest, ale go schowam do czasu, aż właściciel zapomni o zgubie. Tak trzymany przedmiot nawet po stu latach nie ulega przedawnieniu. Pamiętajmy o tym przy pożyczaniu rzeczy, które trzeba oddać nawet wówczas,

gdy właściciel zapomniał o nich i nie upomina się o swoje.

4) **Handel**, czyli kupno i sprzedaż z zyskiem, wówczas jest moralnie dobry, gdy sprzedawca żąda godziwej ceny za odpowiedni towar. Nie wolno przed kupującym ukrywać wad towaru, o których wiemy, lub żądać niewspółmiernie większej zapłaty w porównaniu z wartością rzeczy i wysiłkiem włożonym przez nas w trakcie zdobywania tego dobra. Starożytna Księga Mądrości przestrzega: „Handlarz z trudem wystrzega się występku”.

5) **Procent** to zysk od pożyczonej komuś lub złożonej w banku sumy pieniężnej. Jest godziwy, gdy nie jest zbyt wysoki. Z pożyczaniem pieniędzy innym trzeba postępować ostrożnie. Często bowiem można sobie zrobić wroga nawet z przyjaciela. Stare polskie przysłowie powiada: „Dobry zwyczaj — nie pożyczaj”. Ale takie postępowanie nie może być regułą.

6) **Gry pieniężne** traktowane jako zabawa są dozwolone, jeśli przeznaczają się na nie sumy pieniędzy nie uszczuplającą budżetu rodziny. Kto wygrał cieszy się, że uśmiechnął się do niego los, a przegrany, na przykład w Totolotku, pozostaje świadomy, że tych pieniędzy Państwo nie zmarnuje i nadzieją, że i do niego kiedyś fortuna się uśmiechnie.

Ks. ALEKSANDER BIELEC

MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA⁽⁹¹⁸⁾

cjatora i głównego chyba zrazu organizatora, względnie najaktywniejszego współorganizatora zakonu — zmarłych wstańców (o czym już wyżej wspomniano), będącego też pod wpływem mistycyzmu Adama Mickiewicza, Piotr Semeneńko stał się znowu nie tylko człowiekiem wierzącym, ale i praktykującym katolikiem, czynnym członkiem stowarzyszenia Braci Zjednoczonych, stowarzyszenia założonego przez Adama Mickiewicza. W 1840 roku po śmierci B. Jańskiego został pierwszym naczelnym (generalnym) przełożonym zakonu zmarłych wstańców, którym był mimo rozlicznych trudności i własnych rozczarowań do 1845 roku. W 1841 roku, ukończywszy studia teologiczne i uzyskawszy stopień doktora, przyjął sakrament kapłaństwa. W 1842 roku w uroczystość Wielkanocy, czyli Zmarłych wstania Pańskiego (stad nazwa — zmarłych wstańcy) wraz z grupą swoich kolegów i współpracowników w oparciu o opracowaną głównie przez siebie regułę złożył w katedrach św. Sebastiana w Rzymie śluby zakonne. W Parwzu zaś niebawem potem zorganizował też polską misję, której poza religijnymi aspektami i działaniami głównym celem społecznym i politycznym było służyć pomocą polskimi emigrantom. Jak już wspomniano przeżył też ks. Semeneńko niemało rozczarowań zwłaszcza na tle jego usiłowań zorganizowania również żeńskiego zgromadzenia. Od 1845 roku ks. Semeneńko był bliskim współpracownikiem ks. H. Kajsiewicza, który został jego następcą na stanowisku generalnego przełożonego zakonu. Obok wielu funkcji i stanowisk, jakie teraz w dalszym ciągu pełnił, został też ks. Semeneńko w 1859 roku członkiem Akademii Religijnej Katolickiej. Po śmierci ks. Kajsiewicza (1873), ks. Semeneńko znowu został generalnym przełożonym zakonu, jego generałem, i był nim aż do swojej śmierci. W międzyczasie ks. Semeneńko założył w różnych krajach w różnych

formach oddziały swojego zakonu i inne służące pomocą ludzi potrzebującym instytucje, komisje itp., słowem — rozwijał szeroką działalność religijną i społeczną tak w uciemnionej i pozbawionej politycznej suwerenności Polsce, jak i w innych krajach. Stolicą wszelako działalności zmarłych wstańców stał się i był Rzym. W Rzymie, i to tu też trzeba zaznaczyć, w 1866 r. walcie przyczynił się do zorganizowania i otwarcia Kolegium Polskiego, przeznaczanego dla kontynuujących tu studia teologiczne polskich kapłanów, i został jego pierwszym rektorem.

Ks. generał Piotr Semeneńko przy i obok swojej rozległej działalności religijnej, społecznej, zakonnej, kontynuował też pracę naukową i publicystyczną. Swojej szerokiej i ugruntowanej wiedzy zarówno w zakresie teologii, jak i filozofii, dawał wyraz w licznych publikacjach: artykułach, książkach i w bardzo licznej korespondencji, drukowanych w różnych językach i w wielu czasopiśmie. Z tej bogatej twórczości tu należy wymienić następujące pozycje: *Przeziwko Cerkwi rosyjskiej*. Prawda o Kościele Bożym i o Kościele rosyjskim (1843); *Towiański et sa doctrine...* (1850), czyli *Towiański i jego nauka: Książd Jan Pocięj i jego dzieło o Jezusie Chrystusie Odkupicielu, tudzież o pierwotnych chrześcijanach i ich domach modlitwy*. Rzecz za stanowiska historyczno-religijnego w kilku słowach skreślona (w: *Przegląd Poznański* 1853, t. 17, s. 315—371 i odbitka, s. 57); *O Chrystusie Bogu* (w: *Przegląd*, Poznań, 1857, t. 23, s. 113—143); *Biesiady filozoficzne...* (1860); *Historiozofia*. Ogólny rzut oka na całe dzieje (w: *Przegląd*, Poznań, 1863, t. 35, s. 365—394, t. 36, s. 265—309); *O miłości Ojczyzny...* (1864); i wiele kazań oraz tłumaczeń, recenzji, sprawozdań, rękopisów zakonnych, a nie wydrukowanych, i zaginionych.



VI Zjazd Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „POLONIA”



Prezydium Rady Naczelnej „Polonii”

W grudniu 1984 r. odbył się w Warszawie VI Zjazd Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia”. Z ramienia Kościoła Polskokatolickiego udział wziął zwierzchnik Kościoła bp Tadeusz R. Majewski, który został członkiem Prezydium Rady Naczelnej. Społeczne Towarzystwo Polskich Katolików reprezentował prezes Zarządu Głównego bp dr Wiktor Wysoczański — wybrany na członka Rady Naczelnej „Polonii”.

VI Zjazd Towarzystwa „Polonia”, odbywający się w chwili szczególnej — u progu trzydziestolecia działalności — był okazją do tego, aby spojrzeć nie tylko na to, co w kadencji 1979-1984 zrobiono, ale również zastanowić się, jakie perspektywy stwarzają nadchodzące lata. Bowiem minione pięciolecie było czasem trudnym nie tylko dla kraju, ale również dla tych wszystkich, którzy pod różnymi szerokościami geograficznymi patrzyli z troską na trudności Polski i którym drogą było dobre imię ojczyznanego kraju. Był to czas trudnych przeobrażeń i decyzji.

Sekretarz generalny Towarzystwa „Polonia”, Wojciech Jaskot, powiedział m.in.: „Ważne w minionej kadencji były dziesiątki imprez, spotkań, ale najważniejsze było to, że Polonia w najcięższym okresie chciała do Polski przyjeżdżać. Cóż byłoby warte wszystkie te imprezy bez Polonii? Nie doszło do żadnej przerwy we wzajemnych kontaktach, nie odwołano niczego, nawet jeżeli frekwencja była mniejsza niż w latach poprzednich”.

Należy podkreślić, że w okresie stanu wojennego przedstawiciele środowisk polonijnych przyjeżdżali mimo wszystko do Polski, przeciwstawiając się fali antypolskiej propagandy, pokonując trudności wynikłe z zawieszania lotów ze Stanów Zjednoczonych. Organizacje polonijne zaś kierowały w tym okresie zaproszenia do przedstawicieli Towarzystwa „Polonia”. Utrzymało więc ono swoje kontakty z ok. 500 organizacjami polonijnymi w trzydziestu krajach, a z licznymi środowiskami polonijnymi takich krajów, jak Brazylia, Argentyna czy Australia współpraca stała się bardzo ożywiona.

Jak zwykle w swej działalności, Towarzystwo „Polonia” wychodziło naprzeciw zapotrzebowaniom Polonii Zagranicznej we wszystkich dziedzinach. Konsultowano zamierzenia z jej przedstawicielami, słuchano sugestii i życzeń. Pracowano dla Polonii, ale i z Polonią. Działalność była dwukierunkowa. Z jednej strony pomagano organizacjom polonijnym w ich działalności kulturalnej, artystycznej, społecznej „na miejscu”, w krajach osiedlenia Polonii. Pomoc ta polegała głównie na bezpośrednim prezentowaniu polskiej kultury i jej twórców. Starano się także inspirować krajowych partnerów do współpracy z Polonią oraz prezentować społeczeństwu polskiemu dorobek artystyczny i kulturowy Polonii.

Trudno tu wyszczególnić wszystkie działania podjęte przez Towarzystwo „Polonia” w ubiegłym pięcioleciu. Trzeba jednak wspomnieć chociażby o festiwalach — chórów w Koszalinie, zespołów folklorystycznych w Rzeszowie, o polonijnych igrzyskach sportowych, które odbyły się w Krakowie i jubileuszowych (50-lecie) w Warszawie. Prezentowano ponad 70 wystaw polonijnych artystów, organizowano koncerty śpiewaków i muzyków.

Dzięki Towarzystwu „Polonia” w środowiskach polonijnych występowało 75 zespołów, kilkudziesięciu solistów, 80 choreografów służyło konsultacjami i przygotowało programy. Zrealizowano pięć średniometrażowych filmów o Polsce, dostarczono organizatorom polonijnym polskie słowo drukowane. Szczególnie troskliwie zajęto się najmłodszym pokoleniem Polonii, które zresztą stanowiło ok. 80 proc. uczestników imprez organizowanych w kraju. W imię zachowania znajomości języka polskiego wśród kolejnych pokoleń, udzielono pomocy oświacie polonijnej, kształcono nauczycieli, przesyłano podręczniki i pomoce naukowe (niestety, udało się wydać w ubiegłym pięcioleciu tylko trzy podręczniki).

W większości środowisk polonijnych język polski jest już drugim językiem i musi być nauczany jako obcy, stąd potrzeba doskonalenia

podręczników nie tylko dla dzieci i młodzieży, ale również dla dorosłych. Po raz pierwszy w szkołach letnich kultury i języka polskiego wprowadzono kurs dla nastolatków. Ważną formą nie tylko poznawania Polski, ale również nauki języka były tradycyjne — od dziesiątków lat organizowane — kolonie dla dzieci polonijnych w Polsce. Oprócz kwartalnika „Wiselka” powstało nowe pismo pod nazwą: „Polonijny Świat Młodych”. Swego pisma doczekali się również polonijni absolwenci studiów w Polsce, do których adresowany jest kwartalnik „Polish Links”.

„Polonia” zorganizowała także kursy specjalistyczne, wycieczki, spotkania, możliwości odpoczynku i nauki. Wspomnieć tu należy o całej sferze związanej ze współpracą z Polonią w dziedzinie ekonomicznej — i to zarówno o współdziałaniu i kontaktach z organizacjami przemysłowymi Polonii w krajach jej zamieszkania, jak i tzw. firmach polonijnych, które — mimo różnych nieprawidłowości pierwszego żywiołowego okresu ich powstania i wywołanych nimi kontrowersji — rozwijały się, znajdując swoje miejsce w potrzebnej Polsce drobnej wytwórczości.

We wszystkich dziedzinach działalności Towarzystwa „Polonia” przyświecała niezmiennie od początku zasada otwarcia na skupiska polonijne, niezależnie od występujących w nich zróżnicowań, zarówno pod względem struktur organizacyjnych, pokoleniowych, kulturowych czy społecznych, jak też występujących często odmienności światopoglądowych i politycznych. Towarzystwo wychodziło zawsze naprzeciw wszystkim, którzy z racji polskiego pochodzenia, bez względu na kraj urodzenia lub znajomość języka, czują się związani z Polską i zainteresowani jej kulturą, historią, tradycją, chcą działać dla jej dobra i dobrego imienia. Często przedstawiciele środowisk polonijnych — oddalonych przecież o setki mil od siebie — nie spotkali się ze sobą i nie nawiązali współpracy, gdyby nie przyjechali do kraju.

VI Zjazd Towarzystwa „Polonia” otworzył czwarte dziesięciolecie jego działalności. Wiele zrobiono, ale również wiele jest jeszcze do zrobienia, żeby tradycyjne więzi Polonii z krajem były rozwijane i pogłębiane. Dla dobra Polski i 13-milionowej rzeszy ludzi, którzy choć żyją poza jej granicami, właśnie tu, w kraju nad Wisłą, widzą swoje etniczne korzenie i poczuwają się do wspólnoty z jego różnorodnym, bogatym dziedzictwem.

(Inf. pras.)

Rozmowy w kulisach.
Z prawej — bp Tadeusz R. Majewski



Koneserom pięknych głosów

Spotkanie z

BOGDANEM PAPROCKIM

najwspanialszym polskim tenorem

ostatniego 40-lecia

Natura obdarzyła Pana Bogdana Paprockiego niepowtarzalnie wspaniałym głosem — zdecydowanie monym i jednocześnie bardzo lirycznym. Nikt lepiej nie potrafi wykonać arii, które on zaśpiewa. Jest Pan Bogdan Paprocki jednym z największych, najbardziej utalentowanych śpiewaków świata. Jego grę i mistrzostwo wykonania partii solowych możemy podziwiać na scenie Teatru Wielkiego w Warszawie.

Wybitnego Tenora gościmy dzisiaj w siedzibie Instytutu Wydawniczego im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego.

— Jak rozpoczął się Pana mariaż ze sceną? Czy już w dzieciństwie odkryto u Pana talent wokalny? A może ktoś lub coś zainspirowało Pana do śpiewu?

— Proszę Pani. Jeśli ktoś zwraca się do mnie z takim pytaniem, to zawsze najpierw sobie trochę żartuję. Co mnie mogło skłonić do śpiewania, co pobudziło „żytkę” do śpiewu? Może zacznę od tego, że moja mamusia ma panięskie nazwisko Skowronek, a jeszcze do tego — żeby było weselej — zawsze mi opowiadano, że moja babcia (to znaczy matka mamusi) miała bardzo piękny głos i wspaniale śpiewała, ale — oczywiście — dla swoich potrzeb amatorskich, gdyż żadnych zawodowych „ciągów” w tym czasie nie było. Tak więc sobie myślę, że chyba od tego się w ogóle wszystko zaczęło z historią mojego śpiewu. Przyznam się, że rzeczywiście od najmłodszych lat śpiewałem. Po 4 klasach szkoły podstawowej, gdy miałem 10 lat (zacząłem naukę w wieku 6 lat), zdawałem już do gimnazjum w Chojnicach. Od I klasy gimnazjalnej należałem do chóru i zawsze tam nasz profesor — nomen omen, nazwisko: Wagner — musiał

mnie temperować, gdyż jaki by chór nie był, to ja miałem zawsze jakiś taki „świdrujący” głos, że słychać mnie było najbardziej, więc musiałem się troszkę hamować, dostrajać, bo przecież brzmienie chóru musiało być bardzo jednolite, nie można było się wybijać. W gimnazjum doszło jeszcze harcerstwo. Ileż to setek kilometrów przemaszzerowaliśmy w kurzu, słońcu i deszczu, ale zawsze ze śpiewem. Śpiewało się przy ogniskach itd. Tak, że ten śpiew towarzyszył mi właściwie przez cały czas. Kiedy pojechaliliśmy w roku 1935 na międzynarodowy zlot harcerstwa do Spały, po drodze — w Toruniu — śpiewa-



Bogdan Paprocki jako Stefan w operze „Straszny dwór” Stanisława Moniuszki

Cyfelni ko mu „Rochuny”
Dowiej Rok
iguy
Tepu Si Zopla

Warszawa 1985.

liśmy przed mikrofonem Polskiego Radia pieśni kaszubskie. Miał więc człowiek do czynienia z śpiewem właściwie od rana do nocy. Tak było do roku 1935, bo właśnie w roku 1935 mego ojca przeniesiono w lubelskie i gimnazjum ukończyłem już w Lublinie. Tam — oczywiście — już nie należałem do chóru, ani nie uczyłem się śpiewu. Nawet świadectwo maturalne mam bez stopnia ze śpiewu. W klasach VI, VII i VIII gimnazjalnej pasjonowałem się bardziej sportem. Dopiero po maturze, kiedy zostałem powołany do pełnienia służby wojskowej, do Podchorążówki w Zamościu, śpiewałem znowu. W Podchorążówce mianowicie mieliśmy porucznika, który chciał z naszego plutonu zrobić koniecznie chór „Dana”. Gdziekolwiek więc szliśmy, czy to rano, czy wieczorem, musieliśmy śpiewać, jak chór „Dana”, a jak śpiewaliśmy kiejpsko, to porucznik tak nas pogonił, że nam się odechciało wszystkiego. W mojej drużynie był kolega — również niewielkiego wzrostu, jak ja, czarny, w okularach — z Krakowa, który nazywał się Józef Kiepusa (nie mający nic wspólnego z rodziną Jana Kiepury). Przez całą Podchorążówkę tak już się uтарыło, że ja byłem Kiepusą, a on Paprockim. Inaczej już do nas do wódca się nie zwracał.

— A kiedy miał miejsce pierwszy występ publiczny Pana?

— W lutym 1939 roku — jak to było w zwyczaju naszej szkoły — Podchorążówka urządziła wieczór rewiowo-estradowy. Wtedy po raz pierwszy wystąpiłem publicznie w kwartecie Jewelersów. Pamiętam, że śpiewaliśmy wtedy jakieś 2 tanga. Następne moje występy „wojskowe” były w drugiej połowie sierpnia 1939, kiedy to już byłem w pułku, tuż przed mobilizacją w Chełmie Lubelskim. Mieliśmy wtedy dowódcę pułku, który nazywał się — znowu nomen omen — pułkownik Muzyka, góral z pochodzenia, straszny meloman. Podchorążacy urządzali w mieście dla społeczeństwa tzw. ogniska, ażeby podnieść ducha w narodzie, bo przecież wojna wisiała „na włosku”. Wtedy to śpiewałem przy akompaniamencie akordeonu, bo o noszeniu fortepianu nie było przecież mowy, występowaliśmy bowiem na stadionach, boiskach itp. Śpiewałem pieśni, np. Pieśń Rycerską Stanisława Moniuszki. Poczytywałem sobie za wielki zaszczyt śpiewać dla tylu zebranych ludzi — i to w takim charakterze, dla dodania otuchy. No, ale cóż — niestety, za parę dni wybuchła wojna. Pod koniec września znalazłem się szczęśliwie w domu, w Rejowcu. Cóż mi zostało? Chodziłem na piętro, do klas, i po prostu „wyłem” po parę godzin dziennie. Czułem autentyczną potrzebę śpiewania. Wtenczas miała miejsce pierwsza wojenna pasterka w kościele w Rejowcu.

— Zapewne śpiewał Pan wówczas koledzy...

— Tak, choć doszło do tego

zupelnie nieoczekiwanie. Po prostu, założyłem się z kolegami, że lepiej zaśpiewam niż chór kościelny. Tak więc od 6 stycznia 1940 roku przez przeszło dwa lata chodziłem tam regularnie i śpiewałem. Była to — według mnie — bardzo dobra szkoła. Poznałem tam bowiem byłego śpiewaka Opery Warszawskiej i Petersburskiej, który pracował wówczas w cukrowni (z zawodu inżynier). Nawet później śpiewałem z nim w duecie. W jego posiadaniu były różne materiały nutowe, które mi udostępniał. Po dwóch latach musiałem opuścić tamte strony i znalazłem się w Lublinie, gdzie poznałem swego przyszłego profesora śpiewu — prof. Kopa, który przed wojną był korepetytorem w Operze Warszawskiej, oraz jego żonę (także śpiewaczkę). W Lublinie miałem przyjemność poznać znakomitą śpiewaczkę panią Marię Borerową, która śpiewała przed wojną w warszawskim Teatrze Wielkim. Największą rolę wówczas odegrał w moim życiu pan Zygmunt Kałużyński, który ukończył to samo gimnazjum im. Staszica, co ja, w Lublinie. W czasie okupacji utworzyło się więc pewnego rodzaju towarzystwo muzyczne — należał do niego także Kędra. Odbываły się wtedy koncerty po domach, po mieszkaniach prywatnych, gdzie zbieraliśmy się „na kawę”, aby koncertować. Wyjeżdżało się nawet poza Lublin na tego typu konspiracyjne koncerty. Zygmunt Kałużyński — który mi akompaniował (a grał bardzo dobrze na fortepianie) i dużo z nim śpiewałem, zwłaszcza Pieśń Moniuszki, bo on mnie właśnie z takiego pułapu „ustawił”, żeby od byle czego nie zaczynać — zmusił mnie także do poważnego kształcenia głosu.

— Zaczął więc Pan kształcić swój głos...

— Proszę Pani. Może siedem lub osiem miesięcy wszystkiego się uczyłem, ponieważ okazało się, że głos miałem już z natury „postawiony”. Potrzebne mi były tylko pewne rzeczy, jeśli idzie o wyszkolenie wokalne. Jeśli już jesteśmy przy sprawie szkolenia głosu, to pragnę tu powiedzieć o bardzo przykłej, według mnie, sprawie obecnego szkolnictwa. Właśnie w Akademii Muzycznej student-wokalista ma 2 lekcje tygodniowo śpiewu. Tylko 2 lekcje!!! I to student specjalizujący się w śpiewie solowym! Ja zawsze mówię, że jeśli moja nauka — prywatna, oczywiście — trwała 7 miesięcy, to gdybym przyłożył ten czas do normy obowiązującej w Akademii, to moja nauka trwała 30 lat, ponieważ ja dziennie śpiewałem po 3—4 godziny, i to codziennie. W ten sposób uzyskałem potrzebną „odporność”, umuzykalnienie, ogładę muzyczną, kulturę. Zresztą wzorowałem się na ludziach, z którymi wówczas śpiewałem. Ale przepraszam, była to tylko dygresja. Pówróćmy do moich koncertów.

Do Warszawy wyjechałem na początku 1944 roku, gdzie skon-

taktowałem się z prof. Beliną-Skupiewskim, u którego miałem dalej się kształcić. Tak się jednak złożyło, że niedługo wyjechałem do Lublina na jakiś koncert — i wtedy nastąpił odwrót wojsk niemieckich. A ja znowu zostałem bez niczego, z teczką nut pod pachą. Wprawdzie mogłem wyjechać z Lublina ostatnim pociągiem do Warszawy (bo siostrę jeszcze wyekspediowałem), ale ojciec był na zamku w Lublinie, matka „z drobiazgami” w Rejowcu, więc ktoś musiał zostać. I ja właśnie z tych względów zostałem w Lublinie. Wszystko się wówczas szczęśliwie jakoś skończyło — ojciec się znalazł, wszystko było w porządku, ale ja właściwie zostałem taki „zawieszony w próżni”. Kiedy więc się dowiedzieliśmy z 2 kolegami, że tworzy się zespół artystyczny przy Domu Żołnierza w Lublinie, natychmiast tam poszliśmy i zmobilizowaliśmy się. Przydzielono nas, jako solistów, do tworzącego się dopiero zespołu artystycznego. I tu rozpoczął się mój drugi „romans” z wojskiem (pierwszy był przed wojną, w Podchorążówce), który trwał przeszło 2 i pół roku, do października 1946 roku. W zespole tym byłem solistą, koncertowałem w Lublinie z okazji różnych uroczystości, świąt, akademii itd. Potem zaczęły się wyjazdy z koncertami — do szpitali dla rannych żołnierzy, na front, dla żołnierzy walczących na froncie. Wyjechałem w lipcu z Warszawy, a na początku października znalazłem się w mundurze, w Pradze. Praga była bowiem już wolna. Daliśmy wówczas koncerty dla społeczeństwa i dla wojsk, które stały po prawej stronie Wisły. Jeździliśmy i na stanowiska artyleryjskie, gdzie się koncerty przerywało, skakało do dołów, zatykało się uszy i czekało, aż swoją porcję działa „wyplują”. Były i koncerty w wiejskiej chałupie dla np. 3 generałów, którzy mieli pół godziny na to, aby nas posłuchać itd. Były frontowe występy w Gdańsku, podczas działań dywizji im. Westerplatte. Koncertowaliśmy w Kielcach — rano np. Niemcy opuścili Kielce, a my, wieczorem, przy palącym się jeszcze mieście, śpiewaliśmy i koncertowaliśmy. Podobnie było w Krakowie — Niemcy w nocy wyszli, a o godz. 10 rano byliśmy już na Rynku, gdzie nas przyjęto owacyjnie. Występowaliśmy w krakowskim Teatrze Starym cały tydzień. Po pewnym czasie znaleźliśmy się na Śląsku. Wówczas to mieliśmy próbę w gmachu Opery Śląskiej. Śpiewałem włoską pieśń. Ktoś poszedł wtedy na piętro, do dyrekcji, bo za chwilę przyszedł starszy pan (okazał się nim dyr. Sillich Jerzy) i zapytał, czy mógłbym jeszcze raz zaśpiewać tę pieśń. Oczywiście, zaśpiewałem. Pan ten zaproponował mi, bym pojechał z nim do Katowic, do dyr. Beliny-Skupiewskiego. Tak też się stało. Przypomniałem się profesorowi, zaśpiewałem kilka arii. Zaproponowano mi, żebym został w

Operze. Chętnie bym się na to zgodził, ale — niestety — ponieważ byłem w mundurze, musiałem najpierw załatwić sprawy zasadnicze. Zaproponowałem więc ja, z kolei, żeby dyrekcja Opery zwróciła się do gen. Zawadzkiego, który był wówczas wojewodą śląskim, aby wcześniej mnie zwolniono z wojska. Gen. Zawadzki znał mnie dobrze z Lublina — jego adiutant stał zawsze w kulisach i jak schodziłem ze sceny, mówił: „Generał prosi o „Piosenkę o mojej Warszawie”. Co bym nie śpiewał, jaka by nie była okazja, to zawsze musiałem wracać na scenę i śpiewać dla Generała „Piosenkę o mojej Warszawie”. Niestety, nie można było załatwić sprawy wcześniejszego zwolnienia mnie z wojska. Powiedziano mi, że muszę osobiście się o to starać. I rzeczywiście, tak się stało, w połowie 1946 roku. Od 1 listopada 1946 roku znalazłem się w stroju wojskowym (bo wówczas innego nie miałem) w zespole Opery Śląskiej i po upływie 3 tygodni śpiewałem swój debiut operowy — partię Alfreda w operze Verdiego „Traviatta” (było to 23 listopada 1946 r.). Od tego czasu wszystko się szczęśliwie układało — jakoś los mnie oszczędzał (bo w czasie okupacji rodzina moja doznała wielu tragedii: brata zamordowano, ojciec był uwięziony). Znalazłem się w zespole, wśród takich wielkich nazwisk, że „skóra mi cierpla”, jak miałem w ich towarzystwie śpiewać. A przecież zacząłem od razu śpiewać z Barbarą Kostrowską i Andrzejem Hiolskim właśnie w „Traviacie”. Jeżeli wtedy mnie pochwalono, to przez trzy noce nie mogłem spać, a jak mi powiedziano, że coś nie tak było — to tydzień nie spałem. Ale był to naprawdę fantastyczny zespół, w którym panowała niezwykle przyjemna atmosfera, niemal rodzinna. I w taki oto sposób rozpoczął się mój mariaż z operą. Do 1960 roku występowałem w Operze Śląskiej w Bytomiu, z tym że od 1957 roku byłem również solistą Opery Warszawskiej.

— A Pana ulubiona opera?

— Ulubione opery? Uzależnione to było od różnych okresów mojego życia, mojej kariery. Myślę, że marzeniem każdego polskiego tenora jest partia Jontka w „Halce” Moniuszki. „Halkę” zaśpiewałem w czerwcu 1947 roku i to debiutowałem w „Halce” za granicą, w Morawskiej Ostrawie, gdzie nasz zespół wyjeżdżał na gościnne występy. Daliśmy tam wówczas 3 przedstawienia „Halki”, a w jednym z nich właśnie śpiewałem. Potem przyszły inne opery. Ale w początkowym okresie moją najbardziej ukochaną operą była „Cyganka” — śpiewałem partię Rudolfa. Śpiewanie partii Rudolfa było zawsze dla mnie wielkim przeżyciem — bardzo lubiłem tę operę. Następną rolą był „Trubadur” Verdiego”, a ostatnio moją najukochańszą

cd. na s. 13

Zapusty czyli gloryfikacja życia



Na terenie Mazur i Warmii ostatnie trzy dni karnawału noszą nazwę zapust, rzadziej zapusty. Bardzo często termin ten odnosi się do ostatniego dnia karnawału. Bawi się wtedy i tańczy cała wieś. Przygotowuje się lepsze jedzenie i piecze pączki lub plince. W obrzędowości tych dni dają się bardzo łatwo wyróżnić relikty dawnego święta zmarłych, na co wskazuje zarówno bezpośrednia informacja, że „w zapust i popielnik wspomina się zmarłych i czasem zostawia jadło”, jak również zakazy pewnych czynności. Co prawda zakaz kręcenia w ten dzień maszynami tłumaczy się: „żeby się wilki nie przywłoczyły”, a zakaz jedzenia grochu, podobnie jak w okresie Bożego Narodzenia — wrzodami, wiadomo jednak, że zakazy takie wiązały się z okresami kultu zmarłych.

Na terenie Mazur i Warmii są jeszcze żywe bądź dobrze pamiętane orszak! przebiezańców, często z maskarami zwierzęcymi: niedźwiedziem, kozą, bocianem. Na terenie Mazur Wschodnich zaś częstą formą jest drewniany koń: „na zapusty chodzono z drewnianym koniem, trzeba mu się było wykupić owsem”. Często występują również grupy, w których mężczyźni przebrani są za kobiety, a kobiety za mężczyzn. Obie te formy występują na całym terenie w rozproszeniu.

Najhuczniejsze zabawy odbywały się ostatniego dnia — we wtorek. W wielu wsiach żyje jeszcze tradycja tych zabaw. Były one składkowe, często — szczególnie na Warmii — urządzano je w karczmach. Z ciekawych form zabawy zanotowano np. rzucanie koła upleczonego z wierzby (czasem okręconego srebrnym papierem) na którąś z tańczących par. Para ta musiała się wykupić. W Szymonkach i Gawlikach Wielkich zanotowano interesującą formę — zawieszanie w drzwiach domu huśtawki: „Taka wuracka do wozienia i każdy z domowników musiał się połuścić przynajmniej dziesięć razy”. Miało to prawdopodobnie jakieś znaczenie magiczne, niestety już zatarte. W Mrągowskim zanotowano wróżbę — rzucanie wianków z chojny: „w zapusty podczas zabawy dziewczęta zarzucały wianki z chojny na gałąź przybitą nad drzwiami. Jeśli wianek zawiesił się za pierwszym razem, to miała w tym roku wyjść za mąż”. Jest to prawdopodobnie jedna z wróżb matrymonialnych w szcątkowej postaci. Do form czysto rozrywkowych można zaliczyć straszenie w maskach z dyni lub buraka, w których „oczi się witnie i świeczkę wstawi” znane i na innych terenach Polski.

Bardzo ciekawe są również te elementy zapustów, które wskazują na resztki magii wegetatywnej. Zanotowano mianowicie nakazy tańczenia w zapusty: „bo jak wysoko się skacze, to len rośnie wysoki”. Odnosi się to wyraźnie do ostatniego dnia tego okresu, do wtorku. Zanotowano również tańce (a właściwie skakanie) na roślinie kartofli w poniedziałek, a zboża — w niedzielę. Na Mazurach Wschodnich, aby len rósł dobrze, jeździ się w ten dzień saniami. Gdziekolwiek do sań musiał być zaprzęgnięty kiziołek (żrebak), który dotychczas w zaprzęgu nie chodził.

O godzinie 12 w nocy w „zapust” zabawy się kończą. Powszechnym zwyczajem, żywym na Warmii do dzisiaj, jest wieszanie patelni w kominie lub uroczyste wynoszenie jej do lasu na znak, że zaczyna się post. Z zakazem bawienia się po północy wiąże się przesąd, że kto ten zakaz przekroczy, będzie tań-

czył z diabłem. Szereg opowiadań, będących już właściwie literaturą ludową, krąży po całym terenie Mazur i Warmii:

„Na zapusti to dawniej robili zielgie zabawi cało wsio. To zebrali się razem i takie składkowe zabawy w karczmie robjili. Ale tańczyć to można było... tło do dwunasty w nocy, i nie dłużej, bo potem to uż post bił... To raz o dwunasty w nocy edna dzieucha tańczyła sama, bez muzyki, a wszyscy uż przestali i zjawił się taki kawaler, rzucił talaraka muzyce i z nio tańczył. Tego kawalera to nikt nie znał, ale jak starzi przeżegnali muzykantów i przestali im grać, to oni dalej tańczyli, ale było uż zidać, co on ma jedno kopyto zaniast nogi i ogun mu spod fraka wygląda. A to bił diabeł i on tańczył z nio tak długo, aż się zmęczyła na śmierć... To zawsze jak się tańczy do dwunastj w nocy w zapust, to diabeł przychodzi”.

Ciekawy obrzęd zapustny zwany „podkoziółkiem” istniał w Wielkopolsce. Przed II wojną światową zanotowano: „Jest-li to zabytkiem czasów przedchrześcijańskich, wytworem wesołości późniejszej? Tai-li się w tem myśl jaka, będąca ogniwem dawnych wyobrażeń, czyli ma to być rzeczą bez znaczenia? Kto na to odpowiedzieć jest w stanie? Jeżeliby to pochodziło miało z czasów słowiańskich. I jakiej siły prerodowej jest oznaką? Czem dziś jest opowiadam:

Za tańce w gościńcu płaci zawsze młodzież grajkom, prócz ostatniego wtorku mięsopustnego: wtenczas już młodzież hula za pieniądże dziewcząt. Na beczce stoi miska, a przy misce lalka wystrugana z drzewa, naga. Posążek ten nazywają „podkoziółkiem”, wprzódy mogło się zwać koziółkiem, pieniądze zaś dawano pod koziółka i stąd taka nazwa z czasem została. Parobek z lalką i całym urządzeniem znajduje się obok grajków, a młódz płaśając z dziewczętami, albo jak je tu nazywają, z „wiochnami”, miasto przed grajkami stawał, staje przed „podkoziółkiem” i wtenczas pieśń tę śpiewają. Należy do dumy, aby dziewczęta sypały pieniędzmi porządnie na miskę, a najbiedniejszą kilkoma złotemi się nie obędzie”.

We wsi Lechin i Roszkowo w Wielkopolsce zabawa odbywała się w karczmie, lub gdzie jej nie było, w domu prywatnym. Punkt szczytowy to godzina zbliżająca się ku północy, kiedy trzeba było wykonać taniec obrzędowy przed „podkoziółkiem”. Około godziny 11 drzwi zastawiało się stołem, aby dziewczyny, które odgrywały główną rolę, nie uciekły. Na stole stawało się dwa talerze, na talerzu „podkoziółka”, czyli figurkę męską, wystruganą z drzewa, nagą zupełnie. Muzyka grała polkę, wszyscy tańczyli. Jeden z chłopaków wyprowadzał kolejno dziewczyny do stołu z „podkoziółkiem” i śpiewał:

Cały rocek tańcowałaś,
Na „podkoziółka” nić nie dałaś,
A dzisiaj „dosz”.

Dziewczyny dawały datki, lecz jak najmniejsze, by móc dłużej z przodownikiem tańczyć. Był tu zwyczaj, że młodzieniec tańczył tak długo ze swoją tancerką, póki dziewczyna nie wyjawiała, że więcej pieniędzy nie ma. W miarę składania datków ubierano „naguska”: działo się to do pełnego okrycia „podkoziółka”, tj. do momentu wykupienia wszystkich dziewcząt. Pieniądże otrzymywał muzykant, który przez sezon tańeczny grywał najczęściej.

Obrzęd „podkoziółkowy” najważniejszy, finalny moment całych zapust w niektórych częściach Wielkopolski poprzedzał pochód maszkar, które produkowały przed oczami widzów, po chatach i drogach wiejskich swoiste dowcipy oraz wyprowadzały rodzaj akcji. Pochodowi niedźwiedzia, konika, kozy, bociana towarzyszył pochód innych jeszcze maszkar, zbierania prowiantów po wsiach i wspólna uczta.

Luźno wiązał się z „podkoziółkiem” inny obrzęd spełniany częściowo w łączności z zapustami, w pewnych zaś okolicach dopiero w popielec. Było to tzw. wywożenie zencowej. Zwyczaj ten uważano za kończący zapusty, albo za obrzęd specjalnie popielcowy. Obrzęd polegał na tym, że kilka przedsiębiorczych babin wiejskich zaprzęgało się do wózka nakrytego płachtą, co imitować miało karetę, i zajeżdżało przed dom małżeństwa pobranego w ostatnim karnawale. „Młoda” powinna się wkupić do grona zamejnych gospodyń domu. Ambitny i zamożniejszy małżonek wykupne to wyprawił w swoim domu, częstując przybyłe wódka. Częściej jednak zdarzało się, że „młoda” sadzano na wóz i wśród śmiechu, dowcipów i piosenek całej wioski wieziono do karczmy, gdzie organizowano zabawę na koszt małżonki.

Obrzędy zapustne przetrwały dosyć długo w porównaniu z wieloma innymi zwyczajami ludowymi. Dlaczego tak się działo? Można na to dać odpowiedź psychologiczną. Naczelnym prawem dla człowieka jest prawo życia. Życie jest najwyższym dobrem, czyli najwyższą radością i na odwrót, radość jest życiem. W mentalności ludu istnieje tu odwracalny porządek przyczynowy. Dlatego płodność i wegetacja są przejawami radosnymi i również radością i weselem można je wywołać i rozwijać. Era życiodajną w przyrodzie jest wiosna, szczególnie jej początek, decydujące o dalszym szczęśliwym rozwoju; dlatego zainteresowanie człowieka koncentruje się na tym okresie roku obrzędowego najwięcej. Na czas ten przypadają właśnie zapusty, one więc są jednym z najważniejszych obrzędów płodnościowo-wegetacyjnych. A że niebawem skończy się zima, czyli czas, w którym usnęło życie, a cisza martwoży ogarnęła cały świat, więc teraz należy się radować, żeby radością i krzykiem budzić od zowa życie. Elementami życia są ziarno i ziemia, stąd symbole tychże właśnie elementów życia doznają szczególnego wyróżnienia w czasie wegetacyjno-płodnościowych obrzędów zapustnych.

Tryumfalne wzięcie młodożeńcowej to objaw radości z tego, że prawu życia stało się zadość, to pełne ufności przekonanie, że i ziemia przyjmie ziarno i wyda obfity plon na pożytek ludzi, ponieważ człowiek i przyroda stanowią jedność płodnościowo-wegetacyjną. Chłopiec-koziółek, jako ostatek całego kompleksu obrzędowości zapustnej, stanowić ma wypowiednik charakteru płodnościowego, w jakim porą wiosenną, znajdować się powinna cała przyroda. Maszkary, występujące ze śmiechem, tańcem, śpiewem, wróżbami, oracją, porywające za soba całą wieś, a symbolicznie świat przyrody i zwierząt, te maszkary zapustne w pochodzie, to zwycięski ingres wiosny, a kossze z prowiantami, to ofiary na rzecz przyszłych plonów i przyszłego urodzaju niosącego ludziom dobrobyt. Wreszcie wszelkie tańce i skoki na urodzaj, to jeden więcej przejaw wegetacji, ponieważ żywiołem życia jest ruch, a bez ruchu nie ma życia.

Ujmując więc kompleks zapustny, jako przyrodzoną człowiekowi chęć gloryfikacji życia znajdziemy w nim przejaw archaicznego myślenia i magii wegetacji.

EWA STOMAL

data, okres	lokalizacja geograficzna, polityczna	fakty, wydarzenia
1406—1429	Włochy	Filippo Lippi, malarz okresu renesansu, twórca obrazów i fresków o tematyce religijnej.
1409—1411	Polska	Wojna polsko-krzyżacka, zwana wielką wojną. Jej punktem kulminacyjnym — zwycięstwo wojsk polskich i litewskich pod Grunwaldem. Zakończyła się formalnie pokojem w Toruniu, mało korzystnym dla Polski, faktycznie trwała do 1422 r. (pokój w Melnie).
15 VII 1410	Polska	Bitwa pod Grunwaldem między krzyżakami pod dowództwem Ulrika von Jungingena (ok. 39 tys.) a połączonymi siłami polsko-litewskimi (ok. 45 tys.) pod wodzą Jagiełły i Witolda, zakończona zwycięstwem Polaków i ich sprzymierzeńców. Jedną z największych bitew średniowiecza, stanowiąca początek schyłku potęgi krzyżaków.
1411	Polska	Pokój toruński, kończący formalnie wielką wojnę polsko-krzyżacką, niepomyślny dla Polski, negatywnie oceniany nawet przez współczesnych (Długosz), nie odpowiadający wielkości zwycięstwa grunwaldzkiego.
1413	Polska	Unia w Horodle między Polską a Litwą, umacniająca związek obu krajów (sposób wyboru wielkiego księcia litewskiego, przywileje polskiego stanu szlacheckiego dla bojarstwa litewskiego).
1414—1418	Papiestwo	Sobór w Konstancy: doprowadził do likwidacji „schizmy zachodniej” i zjawiska „antypapieży”. Uwięzienie przybyłego na sobór Jana Husa (mimo listu żelaznego cesarza Zygmunta) i spalenie go na stosie.
1415	Francja	Bitwa pod Azincourt między wojskami Francji i Anglii, zakończona kolejną klęską Francuzów, co umożliwiło Anglikom opanowanie Normandii.
1421—1434	Włochy	Filippo Brunelleschi: kopia katedry we Florencji.
1422—1435	Włochy	Budowa pałacu Ca d'Orto w Wenecji, po pałacu Dożów najwspanialszego budynku gotyckiego w tym mieście.



Strój z połowy wieku XIV: suknia wierzchnia kobieca, rozszerzona od góry i długi wierzchni ubiór męski, zwany „surcot” ze zwisającymi rękawami, czapka filcowa.

Ojciec gramatyki polskiej

Mówiliśmy tu niedawno o powstaniu mowy ludzkiej, o jej rozwoju i różnicowaniu na rozmaite języki. Dziś powiedzmy kilka słów na temat zblizony, będący w pewnym stopniu konsekwencją poprzednich.

Rozwój mowy i poszczególnych języków trwał bardzo długo — wieki, a nawet tysiąclecia. Teraz, jak to już było powiedziane, rozwój języka trwa nadal, i jest to zarazem skutkiem i przyczyną tak szybkiego, w niektórych dziedzinach wręcz gwałtownego rozwoju cywilizacji i nauki w obecnym wieku. Ale też obecnie każdy język ma własną, sobie tylko właściwą „bazę rozwojową”: nagromadzony w ciągu wieków rozwój zasób słów oraz utrwalone w trakcie powstawania i rozwoju języka, ale wciąż żywe i zmieniające się zasady wzajemnych zależności między tymi wyrazami, czyli ogólnie mówiąc — gramatykę. Wiadomości te zaś, poza zwykłym przekazywaniem ich z pokolenia na pokolenie przez naukę i posługiwanie się mową ojczystą, są też utrwalane w postaci opracowań językoznawczych (gramatyki, słowniki).

W Polsce początki językoznawstwa sięgają wieku XV. Wówczas właśnie, około 1440 roku, Jakub Parkoszowic, profesor i rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, wydał pierwszy polski traktat o ortografii. W XVI wieku, w 1564 r. leksykograf Jan Mączyński opracował pierwszy słownik języka polskiego: jeszcze jako dwujęzyczny, łacińsko-polski **Lexicon Latino-Polonicum**, który do dziś zachował wartość jako skarbiec języka staropolskiego. W kilka lat później, w 1568 roku, Piotr Statorius-Stojeński, pisarz reformacyjny i pedagog pochodzenia francuskiego, opracował pierwszą, niezbyt jeszcze udaną (pewnie z powodu braków w znajomości języka polskiego) polską gramatykę.

Właściwym jednak twórcą gramatyki polskiej był Andrzej Kopczyński, który na zlecenie Komisji Edukacji Narodowej napisał pierwszy wyczerpujący podręcznik gramatyki polskiej. Andrzej Kopczyński urodził się 30 listopada 1731 r. w Czerniejewie, miasteczku położonym niedaleko Gniezna. Jest to stara miejscowość, w której według tradycji już Władysław Herman w końcu XI w. wybudował kościół. Czerniejewo należało pierwotnie do Pałuków, a później do Górków, dwóch dawno już wymarłych rodzin wielkopolskich. W XV wieku było miasteczkiem dość ludnym, na wyprawę przeciwko krzyżakom wystawiło czterech zbrojnych. Rodzice Andrzeja Kopczyńskiego należeli zapewne do drobnej szlachty, pieczętującej się herbem Słepowron. Andrzej uczęszczał do szkół pijarskich w Warszawie, a mając siedemnaście lat wstąpił do nowicjatu pijarskiego i w dwa lata później złożył śluby zakonne, przybierając imię Onufry. Następnie uczył się dalej w Rzeszowie i w Międzyrzeczu oraz w pijarskim Instytucie Teologicznym w Krakowie. W 1792 roku jako preceptor młodego Antoniego Wisłockiego wyjechał do Wiednia i Paryża. Po powrocie do kraju został nauczycielem wymowy w warszawskim Collegium Nobilium, uporządkował szkolną bibliotekę i wtedy to, z inicjatywy Ignacego Potockiego Komisja Edukacji Narodowej powierzyła mu napisanie podręcznika gramatyki polskiej i równocześnie łacińskiej.

Opracowanie tych podręczników zajęło mu kilka lat. W swej pracy opierał się częściowo na dawniejszych gramatykach języka polskiego pisanych na użytek cudzoziemców. Wprowadził wiele reguł dotyczących pisowni i form gramatycznych. Jego gramatyka była pierwszym oficjalnie wprowadzonym w Polsce podręcznikiem szkolnym tego przedmiotu i została bardzo przychylnie oceniona przez Towarzystwo do Ksiąg Elementarnych. Król Stanisław August nagroził Kopczyńskiego zaszczytnym medalem „Merentibus”, czyli „Dla zasłużonych”.

Książd Onufry Kopczyński zaproponował następnie Komisji Edukacji Narodowej uporządkowanie znajdującej się pod jego zarządem Biblioteki Rzeczypospolitej, stworzonej przez braci Żaluskich, a będącej wówczas w opłakanym stanie.

Brał również udział w pracy politycznej. W okresie Insurekcji Kościuszkowskiej działał czynnie jako jałmużnik w Deputacji Ratunkowej. Przeprowadził się wtedy na początku listopada 1794 r. przez Wisłę na Pragę i zaopatrzył jej pogorzalców w bieliznę, odzież i żywność, co z wielkim uznaniem odnotowały kroniki. Po upadku insurekcji został aresztowany przez władze austriackie i zwolniony dopiero po kilku latach. Po powrocie do Warszawy został członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk oraz prowincjałem pijarskim. W osiemdziesiątą rocznicę urodzin, w 1816 r., wręczono Kopczyńskiemu złoty medal „Za gramatykę języka polskiego”, ufundowany przez społeczeństwo.

Onufry Kopczyński zmarł w niecałe trzy miesiące potem, 14 lutego 1817 roku. Na cmentarzu powązkowskim ufundowano mu epitafium, a w rodzinnym Czerniejewie wniesiono pomnik.

Z cyklu:

opowieści o dawnych gdańszczanach

DWOREK NAD RADUNIA

W październiku 1877 roku przyjechał do Gdańska Jan Matejko z żoną i córką. Goście zamieszkali w „Hotel du Nord” przy Długim Targu nr 19.

W tym czasie Gdańsk spadł do rządu prowincjonalnego miasta, i niewiele zostało z jego dawnej świetności. Czasy sławy potężnego ośrodka portowego minęły. Miasto podupadło gospodarczo i przeżywało regres, ale piękno jego architektury i osobliwy urok zachwycali mieszkańców i przybyszów.

W drugiej połowie XIX stulecia wyraźnie dało się jednak zaobserwować ożywienie umysłowe i kulturalne w mieście. Przejawiało się ono w zakładaniu towarzystw skupiających światłych ludzi, w popularyzacji sztuk pięknych, w gromadzeniu pamiątek dla przyszłego muzeum. Dzięki wyrwałym, zaangażowanym miłośnikom kultury i piękna powstawały w mieście wartościowe inicjatywy artystyczne. Garstka zapalonych estetyków nadawała ton i pobudzała do życia miasto, które jeszcze tak niedawno wiodło prym w północnej Europie, a teraz cicho i smutno wegetowało.

Jednym z najbardziej znanych artystów tworzących w drugiej połowie XIX wieku w Gdańsku był malarz Wilhelm August Stryowski. (Pisownia nazwiska ulegała zmianom, przyjmuje się za podstawę sygnaturę umieszczoną ręką samego mistrza pod obrazem „Szlacheccy polscy”, który znajduje się w Muzeum Narodowym w Gdańsku).

Stryowski urodził się w skromnej rodzinie gdańskiego rzeźnika w roku 1834.

W domu było dużo dzieci, toteż kiedy ujawniły się zdolności malarskie młodego Wilhelma, zajął się nim wuj, Dawid Frans, portrecista. On też wprowadził Wilhelma w pierwsze tajniki sztuki malarskiej. Naukę kontynuował Stryowski w Szkole Sztuk Pięknych pod kierunkiem Jana Karola Schultza, znanego obrońcy i popularyzatora zabytków sztuki w Gdańsku. Był to artysta o bogatej osobowości, wywierający ogromny wpływ na młodzież. W 1835 roku Jan Karol Schultz założył Towarzystwo Przyjaciół Sztuki, skupiające miłośników historii i architektury Gdańska. Oczarowany zanikającym pięknem miasta wykonał ponad pięćdziesiąt rozmaitych jego medaliów. Pracował nad swym dziełem ponad dwadzieścia lat.

Wielki kunszt osiągnął Karol Schultz w rysunku, dlatego też być może i Wilhelm opanował świetnie rysunek. W tym czasie Wilhelm Stryowski zetknął się także z Albertem Juchanowiczem, malarzem gdańskim, podobnie jak on uczniem J. K. Schultza. Juchanowicz po powrocie z Berlina, dokąd wyjechał na stypendium, uczył rysunków. Od roku 1838 wystawiał obrazy, których tematyka dotyczyła głównie widoków i architektury Gdańska. Dzięki hojności mecenasów sztuki Juchanowicz wyjechał do Włoch, następnie osiadł w Monachium.

Po ukończeniu szkoły, dzięki stypendium Gdańskiego Towarzystwa Pokojo-

wego, Stryowski wyjechał na studia do Dusseldorfu. Do Gdańska wrócił około roku 1864, odbywszy przedtem artystyczne podróże nad Ren, do Holandii, Anglii i Francji. Był również w Galicji, a osobliwości tamtejszego życia znalazły odbicie w jego twórczości.

W Gdańsku Stryowski zaczął czynić starania wokół założenia własnej pracowni. W twórczości jego pojawiają się motywy gdańskie, odzywają charakterystyczne postaci i swoista, niepowtarzalna uroda miasta. Tworzył też sceny rodzajowe, malował Żydów, flisaków i szlachtę polską. Artysta nawiązał znajomości z ludźmi sztuki ówczesnego Gdańska i jest prawdopodobne, że należał do istniejącego od roku 1835 elitarnego towarzystwa „Literaria”, skupiającego w swych kręgach osoby z wykształceniem akademickim.

W tym czasie przebywał w Gdańsku Słazak, Rudolf Freitag (1805—1890), rzeźbiarz, zaproszony przez Jana Karola Schultza na wykładowcę Szkoły Sztuk Pięknych. Czynnikiem zadość zaproszeniu Freitag przybył do Gdańska, ogromnie zachwycony jego urokiem pokochał, i pozostał aż do śmierci.

Był to niepospolity artysta, wielki uczeń Thorwaldsena, podróżnik i kolekcjoner, a zarazem odludek i dziwak. Zamieszkał w na wpół zrujnowanym klasztorze pofranciszkańskim i usilnie zabiegał o utworzenie muzeum w Gdańsku. Marzył o tym, by dla własnych zbiorów przywiezionych z licznych podróży, a także dla galerii obrazów Gdańskiego Towarzystwa Sztuk Pięknych zdobyć własne lokum. Pragnienie otwarcia muzeum w Gdańsku stało się jego obsesją.

Zaczątek zbiorów ulokował artysta w starym klasztorze już w roku 1848. Kiedy wreszcie osiągnął cel i w roku 1872 otwarto muzeum, był jego niestrudzonym przewodnikiem. Zanim do tego doszło, starał się pozyskać dla swej pasji różne osobistości, w tym króla Fryderyka Wilhelma IV.

W roku 1870 rozpoczęto w zabudowaniach poklasztornych prace adaptacyjne (remont trwał z przerwami od 1863 r.). Mistrz Stryowski musiał więc opuścić pracownię i znowu szukał odpowiedniego dla siebie pomieszczenia. Kilkakrotnie zmieniał lokum, zanim około 1880 roku nastąpiła w jego życiu stabilizacja. Został konserwatorem zbiorów muzealnych w Muzeum Miejskim, a w 1887 roku, po śmierci kustosa muzealnego, malarza Fryderyka Rudolfa Sy, przejął po nim to stanowisko i funkcję sekretarza Gdańskiego Towarzystwa Sztuk Pięknych.

Z chwilą otwarcia Muzeum Miejskiego kontakty Stryowskiego z Freitagiem stały się sporadyczne. Rzeźbiarz zaabsorbowany troską o zbiory nie miał wiele czasu na podtrzymywanie dawnych znajomości. Pod koniec życia Freitag, zmęczony ciągłymi zatargami z administracją szkół ulokowanych także w Muzeum, zmuszony był przenieść się do domu przy

ulicy Kładki, gdzie mieszkał już do końca życia, tj. 1890 roku.

Wilhelm Stryowski obracał się w tych latach w środowisku gdańskiej cyganerii. Interesował się bardzo zabytkami i historią miasta, toteż dobierał sobie towarzystwo spośród miłośników Gdańska. Estetów w mieście nie brakowało. Często spotykali się na Długim Targu w domu kupca Johna Spröta Stoddarta, pochodzącego z Edynburga. Przybysz ów od lat bowiem osiedlony był w Gdańsku i mecenasował artystom.

Stryowski lubił bywać u Stoddartów, gdzie schodziło się wielu artystów, bibliofilów i kolekcjonerów. Spotykał się tam niewątpliwie z Augustem Bertlingiem, bibliotekarzem miejskim, archiwistą i zarazem pastorem, zagorzałym miłośnikiem antyków. Bertling mieszkał przy ulicy Mariackiej.

Jako badacz z usposobienia i uczony z powołania świadomie nie założył rodziny, aby nie odrywała go od nauki. Do towarzystwa Stoddartów prawdopodobnie należał też Lesser Geldziński, kupiec i kolekcjoner, pochodzący z Włocławka. Około roku 1860 zamieszkał on w Gdańsku, gdzie prowadził firmę handlu zbożem. Firma prosperowała nadzwyczaj dobrze, toteż szybko doszedł do majątku, co pozwoliło z kolei zająć się kolekcjonerstwem. Zgromadził meble gdańskie, zegary, obrazy, rzeźby, zwierciadła i porcelanę, a także wiele przedmiotów kultury izraelskiej, które z czasem przekazał synagodze gdańskiej.

Lesser Geldziński mieszkał w swej kamienicy przy ulicy Długiej 29, ongiś należącej do Czirenbęrgów i Frederów. Tam w kilku pokojach umieścił swe zbiory, prezentując je mieszkańcom Gdańska i przybyszom.

W roku 1901 z darowizny Geldzińskiego urządzono w sieni Domu Ławników przy Długim Targu 43 ekspozycję zabytków cechowych. Część kolekcji podarował Dworowi Artusa i Ratuszowi Głównomięskiemu, reszta, sprzedana na licytacji w Berlinie rozproszyła się po świecie. Geldziński zmarł w 1910 roku.

W tym samym roku Wilhelm Stryowski, będąc jeszcze w sile wieku, poślubił swą młodszą uczennicę, pannę Baedecker. Oboje zamieszkali na Oruni, a ich mały dworek stał się miejscem często odwiedzanym przez Polaków przybyłych do Gdańska. Wielokrotnie chwalili oni serdeczną gościnność malarza oraz urodę i wdzięk jego młodej żony.

Pracownia mistrza mieściła się znowu w starym budynku pofranciszkańskim. Atelier Stryowskiego w muzeum pełne było obrazów i pamiątek z dawnego Gdańska. W 1894 roku Stryowski został profesorem w Szkole Sztuk Pięknych.

Życie płynęło mu spokojnie między wykładami, pracownią w muzeum a dworkiem nad Radunią. Aż przyszła choroba. Artystę dotknął częściowy paraliż i musiał zrezygnować z zajmowanego stanowiska i umiłowanej pasji.

W roku 1912 wyjechał do rodziny żony, do Essen. Schorowany zmarł w kilka lat później, w roku 1917. Spoczął na gdańskim cmentarzu. Do dziś w Muzeum Narodowym możemy oglądać jego obrazy i szukać w nich śladów szczęśliwego okresu z życia mistrza, który mieszkał w dworku nad Radunią.

GABRIELA DANIELEWICZ

Spotkanie z BOGDANEM PAPROCKIM

partią był Don José w „Carmen” Bizeta — znakomita postać. Zmieniały się więc moje upodobania, bo z biegiem czasu pewne odczucia w człowieku zawsze się zmieniają. Chociaż właściwie muszę przyznać, że cały czas hołdowałem partiom, które wymagają aktorstwa, pięknego śpiewania i są bardzo wymagające pod względem wokalnym. Nie lubiłem tzw. ról papierowych, jak np. Kazimierz w „Hrabinie” Moniuszki.

— W jakim spektaklu możemy Pana teraz obejrzeć i — oczywiście — usłyszeć?

— W tej chwili w Teatrze Wielkim śpiewam „Halkę”, „Madame Butterfly”, „Toscę”, „Borysa Godunowa”. Niestety, „Carmen” została u nas „zdzęta”. W „Strasznym dworze”, z okazji nowej premiery, „wypuszczono” na scenę jedynie i wyłącznie młodzież. Śpiewam więc w klasycznym, starym repertuarze.

— Mimo że jest Pan śpiewakiem operowym, nie stroni Pan także od operetki. Na płytach znajdujemy nagrania arii i duetów operetkowych z Pana udziałem. Np. żarliwie wyznaczone leharowskie z operetki „Fryderyka” w Pana interpretacji jest niepowtarzalnie piękne. To samo możemy powiedzieć o ariach z „Hrabiny Maricy” Kalmana. Czy występował Pan także na scenie teatru operetkowego?

— Operetka to także jeden z rodzajów w mojej działalności artystycznej, chociaż znacznie większy rozdział w moim śpiewaniu zajmowały koncerty symfoniczno-oratoryjne, z bardzo szerokim wachlarzem repertuaru. A z Operetką miałem raz do czynienia, chociaż śpiewałem i nagrywałem właściwie wszystko. Coś mi się podobało — to natychmiast śpiewałem. W czasie, gdy miałem tzw. oddech, jeśli chodzi o przygotowywanie nowych ról, dyr. Bursztynowicz z Operetki Warszawskiej zaproponował mi, żebym śpiewał księcia Sou-Czonga w „Krainie uśmiechu”. Potraktowałem ten występ jako pewną przygodę muzyczną. Wprawdzie zmieniła się tymczasem dyrekcja Operetki, przyszła pani Stanisławska, ale ja Sou-Czonga przygotowałem i śpiewałem tę rolę około 100 razy na scenie Operetki przy ul. Nowogrodzkiej. Była to naprawdę dobra przygoda, która pozwoliła mi stwierdzić, że niejedna opera jest dużo łatwiejsza do wykonania niż np. rola księcia Sou-Czonga w „Krainie uśmiechu” (rola ta napisana została zresztą dla tenora operowego). Dopiero przygodę tę przekreślił fakt, że dyr. Stanisławska „Krainę uśmiechu”, niestety, „zdzęta”. To było moje wspaniałe spotkanie z operetką. Tak to już jest, że jeśli coś się dobrze przygotowuje i robi się to z pasją, to musi się to udać, jeśli zaś człowiek coś robi z przymusu, wbrew sobie — to nigdy z tego dobrego nie wyjdzie.

Muszę Pani powiedzieć, że oprócz arii operetkowych nagrałem dużo pieśni włoskich, neapolitańskich...

— Właśnie, ma Pan taki „włoski” głos...

— Ja się właściwie zawsze do tego przyznaję, że najlepiej się czuję we włoskim repertuarze.

— A nie kształcił się Pan we Włoszech?

— Niestety, nie kształciłem się we Włoszech i nigdy nie śpiewałem we Włoszech, chociaż nieraz były pewne załączki propozycji, w które nigdy nie wierzyłem. I rzeczywiście, mimo kilkakrotnych okazji nie dochodziło do tego. Byłem właściwie tylko raz we Włoszech — w roku 1980. Będąc na audyencji u Papieża, namawiano mnie, by przed Papieżem zaśpiewać, ale stwierdziłem, że nie jest to odpowiedni moment, by się popisywać.

Bardzo często spotykałem się ze zdziwieniem słuchaczy z tego powodu, że nie kształciłem się we Włoszech. Może to źle, a może i dobrze, że we Włoszech nie uczyłem się śpiewu. Znam przecież kilku kolegów, którzy jeździli do Włoch i tam się do kształcali — i zawsze to im wychodziło na złe, bo hochsztaplerów w nauce śpiewu jest bardzo dużo, a we Włoszech jest ich bez liku.

— Czy zajmuje się Pan kształceniem młodych kadr?

— Śpiew mnie zawsze fascynował, ale jeśli idzie o nauczanie śpiewu, to miałem nawet zagraniczne propozycje, ale z nich nie skorzystałem. Jeśli człowiek sam śpiewa, to nie myśli o tych sprawach. Ale jak tak sobie przejrzyć w pamięci, kto u nas uczy śpiewu, to lepiej nie uczyć. Uczy kto chce. Rozumiem, że każdy może spróbować, ale jeżeli u kogoś, poza chęcią, nie ma żadnych innych wyników, to powinien sam zrezygnować, albo powinni z niego zrezygnować, ale tak — niestety — nie jest. Jeśli ktoś jest wykładowcą i bez względu na wyniki przechodzi do stawiania stopni — nie uczniom, tylko sobie, to wtedy jest bardzo źle. Ja się ograniczam — wyłącznie — do tego, że jeśli ktoś z młodych ludzi przychodzi do mnie i prosi, żeby posłuchać jak śpiewa i powiedzieć, co na ten temat sądzę, to ja tak robię. Z zastrzeżeniem jednak, że to nie ma być forma nauczania, lecz jedynie poinformowania o moich spostrzeżeniach, forma pewnej porady. Ale młode pokolenie jest bardzo trudne. Jeżeli coś się powie młodym człowiekowi, co mu się nie podoba, to poważnie kończy się na tym, że ten młody człowiek przestaje się nawet kłaniać. Uważam jednak, że lepiej jest czasami po-

wiedzieć nawet przykre rzeczy niż wprowadzać młodego człowieka w błąd, dezorientować go, Obecnie nie stwarza się młodym ludziom optymalnych warunków, żeby coś z nich wyrosło naprawdę dobrego. Bo np. jeśli przychodzą oni do teatrów, to w zasadzie w teatrach też nikt nie myśli pod kątem ich rozwoju, tylko pod kątem potrzeb teatru. W rezultacie ci „dobrze zapowiadający” się dosłownie „stają na głowie”, żeby wyjechać za granicę i tam śpiewać — nawet w chórze. Ograniczam się więc do tzw. dobrych rad starszego pana. Przyznam się, że dużo rzeczy przeżyłem i pragnę się swymi doświadczeniami podzielić z młodym pokoleniem. Niestety, każdy chce się przekonać na własnej skórze. Nawet moja córka tak mówi: „Ja wiem, tatuś, masz na pewno rację, ale ja sama muszę się o tym przekonać!”.

— A Córka poszła w ślady Tatusia?

— Nie. Córka jest z zawodu dziennikarzem, pracuje w wydawnictwie.

— Ważne jest w życiu doświadczenie kogoś starszego, ale młode pokolenie nie chce akceptować rad doświadczonych osób.

— Wydaje mi się, żeby umieć dokonywać prawidłowego wyboru między rzeczą dla siebie dobrą a złą, trzeba mieć — nazwałbym to dodatkową inteligencją — inteligencję przyswajania dobrych rzeczy dla siebie. Trzeba umieć odróżnić pewne rzeczy, że np. to jest dobre, ale nie dla mnie, tamto jest złe, ale jak ja to inaczej zrobię, to u mnie będą inne skutki. To jest taka „inteligencja śpiewacza”. Jeśli ktoś ją posiada — to dobrze. Najgorzej jest z tym u tenorów, bo przecież mentalność tenora jest przyszłowiowa. Jeśli ktoś z nich ma tę mentalność — to jest to jego największą wadą, a są przecież i tacy, którzy mają mentalność 3 tenorów!

— Pana opinia na temat przyszłości sceny operowej.

— Często spotykam się ze zdaniem, w rodzaju: Ten teatr nie ma profilu. Zawsze mną w tym momencie coś rzuca, bo uważam, że istnieje — jeśli to tak nazwać — jedyny profil teatru operowego, a jest nim wysoki poziom. To jest jedyna rzecz, która gwarantuje, że nie będzie się mówić o profilu tego teatru, tylko stwierdzi się po prostu, że jest to świetny teatr. Ale to musi być naprawdę wysoki poziom artystyczny, z właściwym doborem repertuarowym. Ja zawsze porównuję teatr operowy do olbrzymiego tworca kolejowego, gdzie jest dużo najróżniejszych peronów, a każdy peron obsługiwany jest przez inny pociąg — tam jest pociąg ekspresowy, tu pociąg towarowy, gdzieś indziej towarowy, jeszcze w innym punkcie osobowe. Każdy pasażer — czyli w przypadku teatru operowego: każdy widz powinien coś dla siebie w tym teatrze znaleźć. Może to być spektakl nowoczesny, nawet awangardowy, może

być piękny klasyczny, ale zawsze musi być — i powinien być, na bardzo wysokim poziomie artystycznym. Niestety, nie zawsze tak jest. Dyrektorzy mają swoje wizje repertuarowe, nie zawsze bazuje się na właściwym materiale wokalnym, na materiale posiadanym. Na Zachodzie np. angażuje się do określonych ról świetnych solistów, bazuje się zaś na zespole drugoplanowych partii, na tzw. rdzeniu zespołu, a te — przysłowiowe — rodzynki do angażowuje się. Tam po prostu jest inny sposób prowadzenia teatru, u nas jest zgola inny. Bywa tak, że ludzie, którzy tylko pewne partie powinni śpiewać, śpiewają wszystko, stając się tzw. omnibusami. A tak nie powinno być. Na temat przyszłości teatru operowego, to — proszę Pani — stałe się mówi, a opera przecież ma ciągle tylu zwolenników. Sale operowe są pełne i widownie rozbrzmiewają oklaskami. Uważam, że ludzi, co się zastanawiają nad tym, czy to już jest przeżytek opery, czy rozkwit, zawsze będzie sporo. Jest tak bowiem już od momentu powstania opery. Sto lat temu też ludzie takie pytania sobie zadawali. Opera zawsze będzie miała powodzenie i zawsze będzie istniała, tylko musi być spełniony jeden warunek — genialny, wysoki poziom artystyczny, a wtedy opera będzie nie do pokonania. Bo w niej jest muzyka, śpiew, taniec, dekoracje itd. Jest to taki potężny ładunek różnych elementów, które nie mogą być obojętne dla ludzi, którzy mają przecież uszy i oczy. To wszystko jest dla człowieka bardzo absorbujące, musi do niego dotrzeć. A przecież ludzie mają jeszcze serca, które reagują na to, co jest piękne i wzruszające. Za sto lat też będą tacy, którzy zastanawiać się będą nad tym, czy opera już się kończy, czy ma jakąś przyszłość przed sobą. Opera ma i będzie miała przed sobą przyszłość, jeśli będzie wystawiana na wysokim poziomie.

— Proszę Pana. Czy piękny głos jest tylko darem natury, czy też mają wpływ inne czynniki?

— Pyta Pani o dobry głos. Jeśli o mnie chodzi, to nie podlega żadnym dyskusjom fakt, że ja miałem głos z natury. Oczywiście, on potrzebował fachowego wykszolenia, nabrania pewnego umykalnienia, kultury wokalne i muzycznej. Wiele rzeczy „wylapywałem” od ludzi, którzy całe życie poświęcili scenie. Każdy człowiek przecież robi błędy. Jeśli np. chodzi o moją ukochaną partię Don Joségo, to ja pragnąłem ją śpiewać już bardzo wcześnie, wtedy jak tam sam wyspiewywałem sobie różne rzeczy, aż mury pękały. Myślałem wówczas, że głos mój jest super dramatyczny, ale jak przyszedłem do teatru, to z tego głosu została jedna trzecia. Zaczynałem jako zupełnie liryczny tenor. Z czasem „otrząskalem się” ze sceną i głos wracał. Poza tym miałem wewnętrzne przekonanie, coś mnie ponosiło, że po-



Rozmowy z Czytelnikami

„Nabyłem ostatnio — pisze w przesłanym do Redakcji liście — p. Eryk S. z Katowic — w Brytyjskim i Zagranicznym Towarzystwie Biblijnym w Warszawie, bardzo pięknie wydaną Biblię. Czytam ją niemal codziennie. Szkoda tylko, że nie jest ona opatrzona krótkim bodaj komentarzem. Dlaczego tak jest?...

Czytam obecnie list do Hebrajczyków i mam trudności w rozumieniu dwóch jego fragmentów. Mianowicie: „Przez wiarę Abel złożył Bogu ofiarę wartościowszą niż Kain, dzięki czemu otrzymał świadectwo, że jest sprawiedliwy, gdy Bóg przyznał się do jego darów” (Hbr 11, 4) oraz: „Podeszłście do góry Syjon i do miasta Boga żywego,.... i do pośrednika nowego przymierza, Jezusa, i do krwi, którą się kropi, a która przemawia lepiej niż krew Abła” (Hbr 12, 22—24)...

Byłbym również wdzięczny za odpowiedź na następujące pytania: Od czego wywodzi się imię Abel? Czy wydarzenie opisane w księdze Rodzaju (rozdz. 4, 1—16) rzeczywiście miało

miejsce w kolebki ludzkości? O czym autor natchniony chciał przez ten pouczyć?”

Szanowny Panie Eryku! Biblia wydana przez Brytyjskie Towarzystwo Biblijne pomyślana została jako łatwe do przeżycia, wydanie podręczne. Stąd brak komentarza. Wydawca zakładał bowiem, że Czytelnicy zdobędą potrzebne im wyjaśnienia z innych źródeł.

Biblijne imię Abel (jak podają znawcy przedmiotu) pochodzi prawdopodobnie od hebrajskiego „hebel” i znaczy: nicosi, technienie.

Abel — jak to wynika z opowiadania biblijnego (Rdz 4, 1—16) — był drugim synem Adama i Ewy, a młodszym bratem Kaina. Z opowiadania tego dowiadujemy się również o złożonych przez nich ofiarach. Abel, będący pasterzem, „złożył (Bogu) ofiarę z pierwotnych (zwierząt) trzody swojej i z tłuszczy ich” (Rdz 4, 4); Kain natomiast, jako rolnik, „złożył Panu ofiarę z plonów rolnych” (Rdz 4, 3). Bóg jednak przyjął jedynie ofiarę Abła, co wzbudziło w sercu Kaina uczucie zazdrości. A ponieważ nie zostało ono przez niego opanowane, doprowadziło go do zbrodni bratobójstwa.

Wspomniane wydarzenie niekoniecznie musiało mieć miejsce na początku dziejów ludzkości. Wielu egzegetów uważa, że jest ono przeniesieniem w czasy prehistorii biblijnej — współczesnego autorowi księgi Rodzaju — utrwalonego już podziału na dwie główne kultury: pasterską i rolniczą. Wydaje się też prawdopodobne, że opis ofiar składanych przez dwóch braci jest odzwierciedleniem przepisów kultowych, obowiązujących od czasów Mojżesza.

Ideą przewodnią opowiadania z życia Kaina i Abła (powiązane z dziejami Adama i Ewy),

jest przede wszystkim teologiczny aspekt upadku pierwszych ludzi. Stąd zło — które po grzechu pierwszych ludzi zakorzeniło się na świecie — sprawia, że najbliżsi sobie ludzie reprezentują skrajne postawy moralne. Autor podkreśla przy tym wolność człowieka w kształtowaniu jego postępowania. Wyrazem tego są słowa Boga, skierowane do Kaina: „Czemu zasepiło się twoje oblicze? Wszak byłoby pogodne, gdybyś czynił dobrze” (Rdz 4, 6—7a). Wydaje się także, że śmierć Abła zamordowanego tylko dlatego, że Stwórca mu błogosławił, jest wymownym przykładem faktu, iż na przestrzeni dziejów dobro jest zawsze nienawidzone i prześladowane.

Takie samo tłumaczenie historii Kaina i Abła spotykamy w księgach Nowego Testamentu, a zwłaszcza w listach apostołskich.

Tak więc dla apostoła Jana prześladowanie chrześcijan znajduje swe wyjaśnienie w genezie śmierci Abła, zamordowanego z nienawiści za jego szlachetność. Daje temu wyraz, gdy pisze: „Mamy się nawzajem miłować; nie jak Kain, który wywodził się od złego i zabił brata swego. A dlaczego go zabił? Ponieważ uczynki jego były złe, a uczynki brata jego sprawiedliwe. (Zatem) nie dziwcie się bracia, jeżeli was świat nienawidzi. My wiemy, że przeszliśmy z śmierci do żywota bo miłujemy braci” (1 J 3, 11b—14a).

Natomiast św. Paweł zwraca uwagę na wiarę Abła, która zapewniła mu błogosławieństwo Boże. Stwierdza bowiem: „Przez wiarę złożył Abel wartościowszą ofiarę niż Kain, dzięki czemu otrzymał świadectwo, że jest sprawiedliwy, gdy Bóg przyznał się do jego darów, i przez nią jeszcze po śmierci przemawia” (Hbr 11, 4). Kierując się wiarą składał Abel ofiarę z najlep-

szych sztuk swojej trzody, podczas gdy chciwy Kain (jak podaje Józef Flawiusz) ofiarował co mu popadło pod rękę. Biblia wspomina, że Bóg wejrzał na ofiarę Abła, co równoznaczne było z uznaniem go za sprawiedliwego. Wyrazem tego „przyznania się Boga do darów Abła” miało być — według tradycji żydowskiej, przekazanej przez św. Hieronima — spuszczenie ognia z nieba, który spalił przyjemną Panu ofiarę. Przez nią przemawia Abel jeszcze po śmierci, gdyż za śmiercią sprawiedliwego nie kończy się jego pamięć wśród ludzi. Stąd Abel wciąż jeszcze przemawia przykładem swej wiary i sprawiedliwości.

Nieco zaś dalej ten sam Apostoł poucza, że ofiara niewinnej krwi Abła jest wyobrażeniem o wiele skuteczniejszej ofiary Jezusa Chrystusa. Świadczą o tym jego słowa: „Lecz wy podeszłście do góry Syjon i do miasta Boga żywego,.... i do pośrednika nowego przymierza Jezusa, i do krwi, którą się kropi, a która przemawia lepiej niż krew Abła” (Hbr 12, 22a, 24). Góra Syjon w Jeruzolimie — miejsce świątyni i mieszkającego w niej w obłoku Boga żywego — jest wyobrażeniem niebieskiego Jeruzalem. Mamy tam pośrednika nowego przymierza, w osobie Syna Bożego, Jezusa Chrystusa. Jego to zbawczą krwią zostali pokropieni chrześcijanie w czasie chrztu świętego. Ma ona przed Bogiem większą wymowę i znaczenie, niż krew Abła sprawiedliwego. Ponadto woła ona nie o zemstę, lecz o przebaczenie.

Korzystając z okazji, łączę dla Pana oraz wszystkich naszych Czytelników pozdrowienia w Chrystusie

DUSZPASTERZ

dokończenie ze s. 13

siadam wewnętrzną ekspresję do mocnych, tragicznych ról, ale jeszcze wówczas nie było na to pokrycia w moim głosie. Usiłowałem więc wyperswadować dyr. Skupiewski i dyr. Sillich. Przelamałem jednak ich upór i zaśpiewałem Don Josego. Po spektaklu, dyr. Skupiewski miał łzy w oczach (potrafiłem go wzruszyć swoim śpiewem), gdyż była to również i jego ulubiona rola. Stwierdził wtedy, że nigdy nie myślał o tym, że tak pięknie potrafię zaśpiewać — zwłaszcza bardzo trudny III i IV akt. Byłem więc przekonany, że teraz to ja powinienem tylko to śpiewać! Ale sam doszedłem do wniosku, że jeszcze za wcześnie, że śpiewam „na żywioł” i to na prawdę, a właściwie powinno się stwarzać pozory tego żywiołu dla słuchacza, gdyż inaczej to człowiek strasznie się „spala”. Głos więc swój ćwiczyłem na „Cyruliku Sewilskim” Rossiniego — tak, jak mi radził dyr. Sillich. Mówił on: „Pamiętaj, jak ci coś nie będzie wychodziło w śpiewie, to bierz się za „Almavivę”. Jeśli będziesz mógł to zaśpiewać, to znaczy, że wszystko jest w porządku”. Okazało się, że miał rację. Jeśli ktoś pytał mnie, u kogo się uczyłem śpiewać, to śmiało mogłem od-

powiedzieć, że u Rossiniego, bo po trzymiesięcznej pracy nad partią Almavivy w „Cyruliku Sewilskim” śpiewanie nie stanowiło dla mnie prawie żadnego problemu. Była to szkoła niesamowita, genialna.

— Czy w swoim życiu dużo Pan nagrał płyt?

— Moje pierwsze nagrania płytowe ukazały się w Moskwie. Właśnie tam nagrałem w roku 1949 z orkiestrą Teatru Wielkiego, pod dyktando Niebolsina, kilka rzeczy dla Radia. Zostało to potem „wypuszczone” na płytę. Zetknąłem się też z moją płytą w USA, gdzie jakiś hochsztapler wykorzystał te nagrania moskiewskie i „wypuścił” je w prywatnej wytwórni z objaśnieniami, że jest to orkiestra Filharmonii Warszawskiej i dyryguje Bierdiajew. Potem nagrywałem jeszcze arie operowe, pod dyktando Strazynskiego — zanim wprowadzono płyty długogrające. Poza tym szereg nagrań dla Polskich Nagrań. Nagrywałem także dla zachodniemieckiej wytwórni płytowej. 2 płyty pod dyktando Mierzejewskiego, dla Suprafonu pod dyktando Wodiczki — płytę arii słowiańskich (kompozytorów słowiańskich), nagrywałem dla angielskiej firmy „Borysa Godunowa” itd. W tej chwili jest przykrą sprawą dla mnie fakt, że od kilku lat

nie można dostać mojej płyty. Ukazują się różne wznowienia, a moich nagrań się nie wznowia. Doszło nawet do takiego — delikatnie mówiąc — niechlujstwa, że jak ostatnio „wypuszczono” na rynek „Straszny dwór” w nagraniu stereofonicznym (jeszcze pod dyktando Bierdiajewa), to w prospekcie obwoluty widnieje moje nazwisko obok partii Zbigniewa — zamiast Stefana. Na pół roku przed ukazaniem się tych płyt poinformowano mnie prywatnie, że taka rzecz ma miejsce, byłem więc przekonany, że przez pół roku zdążą jeszcze poprawić, ale — niestety — tak się ukazało. Liczę na to, że następną moją płytę wypuszczą w serii pt.: „In memoriam”. W ubiegłym roku obchodziłem 40-lecie pracy artystycznej. Czy przy takiej okazji nie mogło się ukazać wznowienie mojej płyty? Też nie. Nikomu to widocznie nie jest potrzebne. W Teatrze Wielkim, podczas przedstawień, funkcjonuje stoisko płytowe. Nigdy tam nie widziałem płyty z moimi nagraniami. A ilu jest śpiewaków, którzy zakończyli już swoją działalność artystyczną i nie posiadają żadnej płyty! Nic nie mają po tylu latach pracy! A nazwiska ich były znaczące, głośne, w naszej powojennej wokalistyce. Nie wiem, dlaczego

tak się dzieje, ale wiem, że to powinno się radykalnie zmienić. — A Pana życzenie na przyszłość — dla siebie, dla Opery — w nowym roku?

— Właściwie specjalnych życzeń dla siebie nie mam. Teraz powinienem sobie życzyć solidnej porcji zdrowia i dobrego samopoczucia, które pozwoli mi na dalszy flirt ze śpiewem, to znaczy sobie a muzom. Operze zaś życzyć jednego — jak najwyższego poziomu artystycznego! I jeszcze do tego ludzi, którzy będą działać z pasją — ale takich jest niewiele. Mam nadzieję, że przyjdą nowi, świetni śpiewacy, kontynuujący piękne tradycje polskiego Teatru Operowego. Nie wolno jednak Operze schodzić poniżej „pryzwoitego” poziomu — dobry poziom jest przecież w granicach naszych możliwości. Mówię więc: poziom, poziom i jeszcze raz: poziom!

— Ja zaś życzę Panu, aby Pana marzenia stały się rzeczywistością. Czytelnikom „Rodziny” proponuję, by wybrali się na spektakl do Teatru Wielkiego w Warszawie. Proszę Państwa, trzeba koniecznie na własne oczy i uszy zobaczyć i usłyszeć Pana Bogdana Paprockiego, a wtedy — już na całe życie — zapamiętamy niezwykły głos tego Artysty i Jego ogromną kulturę muzyczną. Serdecznie dziękujemy Panu za przybycie do naszej Redakcji i miłą rozmowę. Życzymy wielu sukcesów!

— Dziękuję bardzo!
Rozmawiała:
MALGORZATA KAPUŃSKA

— Pozwoliłem sobie przygotować coś w rodzaju melego referaciku. Państwo pozwolą?... Otóż całokształt sprawy przedstawia się, jak następuje: Wiemy, że hochsztapler, nazwiskiem Leon Kunik, lat sześćdziesiąt sześć, syn maglarki Genofewy Kunikówny, urodzony w Krakowie, podejrzany o paserstwo, co uwidocznione jest w kartotece lwowskiej policji, następnie trudnił się lichwiarstwem i, jako lichwiarz, opętał rodzinę Ponimirskich, i podstępem wyzwał ją z majątku.

— Pani Kunicka — przerwał Nikodem — twierdzi, że bynajmniej nie podstępem.

— No, naturalnie, ale każdą rzecz można różnie interpretować. He, he, he... Już jeżeli prokurator otrzyma odpowiednią instrukcję z góry, to da sobie radę. Wiemy następnie, że Kunik przed dziewięć laty uzyskał dowody osobiste, w których zmieniono mu nazwisko na „Kunicki” i dodano imię ojca. To już jawny kryminal. Następnie znamy wszyscy proces jego o dostawę podkładów kolejowych. Wówczas, niestety, nie zostało wyświetlone, nie dało się udowodnić, że podkłady w ogóle istniały. Kunicki wykazał się autentycznymi dokumentami, stwierdzającymi jego niewinność, ale nie ulega wątpliwości, że dokumenty te uzyskał w nieuczciwy sposób. Przecie ten urzędnik kolejowy, który je wystawił, uciekł i przepadł jak kamfora. Wszystko to można odgrzebać i powtórnie wyciągnąć przed kratki sądowe. Jak państwo sądzą?

— Oczywiście! — zawołała pani Przełęska.

— I mnie się tak zdaje — powiedział Dyzma, przyglądając się nieufnie spiczastej twarzy Krzepickiego. Nieustanna ruchliwość jej mięśni i połyskiwość podłużnych oczu robiły wrażenie natężonej czujności i pogotowia. Obliznął teraz końcem języka górną wargę i dodał:

— Najważniejszą wszakże rzeczą jest odebranie mu Koborowa. I tu zaczynają się trudności. Nominalną właścicielką jest przecie pani Nina, a ona na to nie pójdzie.

— Na pewno nie pójdzie — przytaknął Dyzma.

— Otóż właśnie — ciągnął Krzepicki — pozostaje nam tedy jedynne wyjście. Zorz musi wystąpić ze skargą do prokuratora na Kunickiego. Ta zaś, między innymi, powinna zawierać zarzut, że Kunicki wymusza na siostrze oskarżyciela fałszywe zeznania...

— Hm...

— Otóż oskarżenie takie może wystosować Zorz jedynie wówczas, gdy zostanie uwłasnowolniony. Dlatego też zacząć należy od uzyskania od władz sądowych zarządzenia, aby stan umysłu Zorza został ponownie zbadany. Radziłem się adwokata. Ten powiada, że taka rewizja w zasadzie jest możliwa. Trzeba tylko by o taką rewizję

38

wniósł ktoś z krewnych Zorza.

— Ja za żadne skarby! — protestowała pani Przełęska — za żadne skarby. Już dość miałam przykrości. Tego by jeszcze brakowało, żeby moje nazwisko było szargane w prasie...

— No, dobrze, pani Fino — odparł Krzepicki nieco poirytowanym głosem — w takim razie jest pani zdania, że zrobi to Nina.

— Nie — zaprzeczył Dyzma — pani Nina palcem nie ruszy.

— A Zorz nie ma więcej krewnych — zaznaczył Krzepicki, wystawiając palec wskazujący z niezwykle długim i lśniącym paznokciem.

— Wszystko jedno, ja nie będę się mieszała do tego... Wszystko jedno.

Twarz Krzepickiego nabrała złego wyrazu.

— Dobrze — rzekł zimno — zatem nie mamy o czym mówić. Stawia pani krzyżyk na tych czterdziestu tysiącach, które winien jest pani i mnie Zorz, no i krzyżyk na małżeństwie Biby Hulczyńskiej.

Zapanowało milczenie.

— Szkoda tylko — dorzucił — żeśmy trudzili wielce szanownego pana.

— Kiedy ja nie mogę, naprawdę nie mogę! — uparcie broniła się pani Przełęska.

— Nie pali się — powiedział po chwili Nikodem — można przecie odłożyć sprawę na później...

— Może tymczasem znajdzie się jaka rada — dorzuciła z ulgą pani Przełęska.

Krzepicki zerwał się z krzesła.

— Tymczasem, tymczasem! A tymczasem jest to, że pieniądze są mi potrzebne do zarznięcia!...

— No więc postaram się znaleźć coś dla pana — nieśmiało bąknęła pani Przełęska.

— Ach — machnął ręką Krzepicki z lekceważeniem — znowu pięćset złotych czy tysiąc!

Pani Przełęska poczerwieniała.

— Może zostawi pan tę kwestię na później. Nie sądzę, by to miało interesować pana Dyzmę.

— Przepraszam — burknął od niechcenia.

— Może panowie jeszcze kawy pozwolą?...

Napełniła filiżanki i dodała:

— A może jednak pan Dyzma potrafiłby wyrzucić odpowiedni wpływ na Ninę? Skoro ona również męża nie znosi... Wygląda pan na człowieka, który może łamać przeszkody i naginać charaktery...

— Tak, tylko jaki pan w tym miałby interes?!... — cynicznie rzucił Krzepicki.

cdn.

Czy wiecie, że...

Prace prowadzone w Londyńskim Instytucie Medycznym wykazały, że prawdziwi jarosze, to znaczy tacy, którzy nie jedzą żadnych białek zwierzęcych, włącznie z białkiem z mleka, cierpią na różne dolegliwości, zwłaszcza systemu nerwowego. Naukowcy doradzają tym fanatycznym wegetarianom, by choć zgodzili się na małe odstępstwo od swych zasad i przynajmniej regularnie otrzymywali serię zastrzyków z wyciągów z wątroby. Powołują się przy tym na przykład Bernarda Shawa, który był takim właśnie fanatycznym jaroszem.

Wygląd paznokci i tempo ich wzrostu świadczą o ogólnym stanie zdrowia ich właściciela. Normalnie paznokcie rosną przeciętnie około 1,06 mm w ciągu 10 dni. W lecie szybciej, w zimie wolniej. W czasie gdy organizm zaatakuje choroba infekcyjna — zaznacza się wyraźnie zahamowanie wzrostu paznokci. Stan naszych paznokci — ich wzrost, kruchość, grubość — sygnalizuje: braki w odżywianiu, głównie niedobór witamin, zaburzenia w przemianie materii oraz zachwianie równowagi hormonalnej w organizmie.

W RFN na kongresie Towarzystwa Naukowego do Spraw Wyżywienia zajęto się między innymi „problemem kawy”. Stwierdzono, że nie chodzi tu tylko o kofeinę, która w pewnych wypadkach może działać szkodliwie, natomiast pewne substancje powstające podczas palenia kawy, gdy odbywa się redukcja węglowodanów i tłuszczu, zawsze są niepożądane dla zdrowia. Toteż w Hamburgu zaczęto produkować kawę taką metodą, by wyeliminować substancje szkodliwe — bez użycia środków chemicznych — jeszcze przed paleniem kawy. Tak przygotowaną kawę znoszą świetnie nawet

cierpiący na zaburzenia serca, krażenia czy dolegliwości przewodu pokarmowego.

Witaminy są konieczne dla zdrowia, ale niestety kuracje witaminowe mają swe ujemne strony. Często wyraźnie wzmagają apetyt, prowadząc do nadmiernego jedzenia i nadwagi. Powtarzane zbyt często tracą swą skuteczność po doprowadzeniu do pewnego nasycenia ustroju. Wtedy zjawia się groźba przedawkowania. Witaminy rozpuszczalne w wodzie (witamina B i C) nie są szkodliwe, gdyż podane w nadmiarze wydane są z moczem, lecz witaminy rozpuszczalne w tłuszczach (witamina A, D i E), gromadząc się w ustroju w zbyt wielkiej ilości mogą wywierać działanie toksyczne. Ostrożność zachować trzeba zwłaszcza przy witaminie D, której większe dawki uszkadzają naczynia, potęgując zmiany miażdżycowe.

Dzięki fotosyntezie otrzymujemy konieczny nam do życia tlen. Kiedy komórki roślinne rozkładają cząsteczki wody, wykorzystują dla siebie wodór, a wydalają tlen. Podczas procesu energetycznego zachodzącego w organizmach ludzkich i zwierzęcych powstaje znów produkt odpadowy w postaci dwutlenku węgla. Ten zaś potrzebny jest roślinom zielonym do fotosyntezy. A więc życie jest uzależnione od ciągłej wymiany składników między wszelkimi żywymi organizmami. Człowiek jest również zależny od innych procesów zachodzących nieustannie w jego otoczeniu. Na przykład mała dżdżownica użyźnia glebę. Według szacunkowych obliczeń dżdżownice żyjące na obszarze hektara ziemi, w ciągu roku przepuszczają przez swoje ciało 20 ton ziemi, spulchniając górną warstwę gleby, niezbędną do wzrostu roślin. Jeden organizm żywy jest zależny od drugiego. Jakże często niszczyć przyrodę zapominamy, że też jesteśmy jej częścią!

A. M.

rodzina
TYGODNIK KATOLICKI

Wydawca: Spółeczne Towarzystwo Polskich Katolików, Instytut Wydawniczy im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Redaguje Księgarnia „Rodzina”. Adres redakcji administracji: ul. J. Dębrowskiego 60, 02-561 Warszawa, Telefon redakcji: 45-04-04, 48-11-20; administracji: 45-54-93. Wpłaty na prenumeratę nie przyjmujemy. Cena prenumeraty: kwartalnie 156 zł, półrocznie 312 zł, rocznie 624 zł. Warunki prenumeraty: 1. dla osób prawnych — instytucji i zakładów pracy — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach; — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; 2. dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorem: — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; — osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-odbiorczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonują używając „blankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch”; 3. Prenumeratę za zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Pras i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-20145-139-11. Prenumerata za zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zlecających indywidualnie i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty nad kraj i za granicę — do 10 listopada na I kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok następny; — do dnia 1-go każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. Druk PZGraf, ul. Smolna 10. Nakład 25 000. Z. 29. N-30.

KRZEPICKI

Nikodema

DYZMY

sprawę, że wczorajsza pijatyka z pułkownikiem i z dwoma dygnitarzami przysła mu o tyle, że będzie miał łatwiejszy wstęp do ministra.

Przypomniał, że musi być na obiedzie u pani Przełęskiej. Trzeba było dać garnitur do odprasowania.

Do Kunickiego wysłał depechę, zawiadamiającą, że wskutek nieobecności w Warszawie ministra będzie zmuszony pobyć swój w stolicy przedłużyć.

Do pani Przełęskiej pojechał samochodem. Okna mieszkania wychodzą na ulicę i, być może, ktoś zobaczy jego auto, to zaś doda mu szyku.

Właściwie mówiąc, nie wiedział, o czym ma mówić z ciotką Ponimirskiego i z tym jakimś Krzepickim, a zwłaszcza nie widział celu tej rozmowy. Jeżeli zgodził się przyjść, to jedynie przez ciekawość i poniekąd dla atrakcyjności samej wizyty w wielkopańskim domu.

Już od progu zauważył, że dom ten za pierwszym razem oglądał w nienormalnych warunkach. Dziś było to poważne, pełne ciszy, dostojności i ładu mieszkanie. Wprawdzie nie wytrzymało ono porównania z pałacem koborowskim, ale miało w sobie coś nieuchwytnego, co Dyzmie jeszcze bardziej imponowało.

Lokaj otworzył drzwi do salonu, a po dłuższej chwili weszła tam pani Przełęska, która wyglądała dziś na całkowitą damę, za nią wszedł mężczyzna lat około trzydziestu pięciu.

— Pan Krzepicki, pan Dyzma — przedstawiła pani Przełęska.

Krzepicki przywitał się szarmancko. Jego przesadnie rozrzucone ruchy, uderzająca swoboda w obejściu i nosowe brzmienie głosu nie podobały się Nikodemowi z miejsca, chociaż przyznać musiał w duchu, że jest on przystojny, a może nawet znacznie ładniejszy od sekretarza sądu w Łyskowie, pana Jurczaka, który był na cały powiat znanym pogromcą serc niewieści.

— Niezmiernie cieszę się, że mam zaszczyt poznać szanownego

pana, o którym tyle miałem szczęście słyszeć — rzekł Krzepicki, siadając i wysoko podciągając nogawkę.

Dyzma postanowił mieć się na baczności przed tym człowiekiem, który od razu wydał mu się przebiegłym i nieszczerym. Toteż odparł wymijająco:

— Ludzie jak ludzie, zawsze coś mówią.

— Pan wybacz — odezwała się pani Przełęska — ale właśnie dopiero od pana Krzepickiego dowiedziałam się, że pan jest tak wybitnym politykiem. Przyznaję się ze wstydem, że my, kobiety, w sprawach politycznych jesteśmy ignorantkami.

— O, nie przesadzajmy — zaprzeczył Krzepicki i podciągnął drugą nogawkę.

Dyzma nie wiedział, co powiedzieć, i tylko chrząknął.

Na ratunek przyszedł mu służący, który zjawił się z oznajmieniem, że podano do stołu. Podczas obiadu pani Przełęska i Krzepicki, którego raz nazywała po nazwisku, to znów „panem Zyziem”, zaczęli wypytywać Dyzmę o sprawy koborowskie. Pani Przełęska interesowała się głównie kwestią stosunku „tej nieszczęśliwej Niny” do brata i do męża, natomiast pan Zyzio zasympatyzował Nikodemowi pytaniami dotyczącymi dochodów Kunickiego i wartości majątku. Dyzma starał się odpowiadać najkrócej, by jakimś nieopatrzonym zwrotem nie zdradzić tego, że właściwie ma bardzo mało wiadomości w tych kwestiach.

— A niech szanowny pan raczy powiedzieć, czy choroba umysłowa Zorza jest tak rzucająca się w oczy, że nie podobna myśleć o jego uwłasnowolnieniu?

— Bo ja wiem... Wariat to on jest, ale może by potrafił zapanować nad sobą...

— Słuszne spostrzeżenie — potwierdziła pani Przełęska. — Właśnie jego choroba polega na zaniku ośrodków hamujących, lecz sądzę, że gdy pojmie konieczność trzymania języka na wodzy, potrafi wytrwać bodaj przez krótki czas.

— Chyba — potwierdził Dyzma.

— Mam tylko obawę — ciągnęła pani Przełęska — czy Nina zgodzi się na nasze plany?

— Phi — wzruszył ramionami Krzepicki. — A po co ma je znać? Zrobi się wszystko po cichutku. Najważniejszą rzeczą jest znaleźć odpowiednie wpływy w Ministerstwie Sprawiedliwości, ale o to kłopotać się nie potrzebujemy, skoro szczęśliwy los dał nam, jako sprzymierzeńca, wielce szanownego pana. Nieprawdaż?..

— Ach, co za szczęście — zawołała pani Przełęska — że pan, właśnie pan, kolega Zorza i jego przyjaciel, spotkał go teraz!

Na kawę przeszli do małego saloniku. Tutaj Krzepicki wyjął notes i ołówek, po czym zaczął:

37

Bajka na dobranoc

Podróż do Krainy Uśmiechu

Dobry wieczór, Dzieci — to ja, Wasz specjalny wysłannik „Rodziny”. Właśnie schowałem się przy łóżku pewnej siedmioletniej panny Małgorzaty. Pora jest już dość późna i — jak większość dzieci — panna Małgorzata właśnie, głośno protestując, że wcale nie ma jeszcze ochoty na spanie — udaje się do swojego łóżeczka. Jej głośne protesty niedługo milkną i Małgosia, mrużąc coś bardzo sennie, ale błogo, przytula się do swojej ulubionej Lali. Przysuwam się do niej niepostrzeżenie — i co widzę?! Panna Małgorzata już śpi! A śpiąc — uśmiecha się tak przepięknie, że postanawiam natychmiast sprawdzić, co wywołuje tak promienny uśmiech na nadąsanej niedawno twarzyczce...

Małeńkim, zaczarowanym kluczykiem otwieram jej sen i — hop — już jestem tam, gdzie i ona... Okazuje się, że wcale nie jesteśmy tu we dwoje. Jest tu bardzo dużo dzieci, przede wszystkim jednak — dobrych znajomych mojej „Margolci”. Jest Monika — „Monikarz-Paprykarz”, z którą Małgosia siedzi w jednej ławce, jest Marcin, który z uwagi na pokaźne sadelko, odkładające mu się (zwłaszcza na brzusku), nazwany jest przez dzieci „Don Serdello”, jest Małeńka Oleńka, Bastuś-Plastuś i wiele, wiele innych

dzieci, których nie znam tak dobrze, jak Małgosia.

Znajdujemy się wszyscy w ogromnym, zielonym, pachnącym Ogrodzie, jakiego nigdy jeszcze nie widziałem. Na każdym niemal kroku — niespodzianka. Tu karuzela, na której można kręcić się za darmo tyle, ile się ma ochotę, tu huśtawka, na której można wzbic się w górę aż po białe obłoki... A wokół — pełno najprzeróżniejszych zabawek, nowiuteńkich, którymi można się bawić aż do utraty tchu...

Sprawa, która mnie intryguje najbardziej, to to, że wszystkie dzieci, bez wyjątku, nie kłócą się ze sobą, nie wydzierają sobie z rąk zabawek, ale pięknie się bawią ze sobą choć nie ma w pobliżu nikogo z Dorosłych... Rozglądam się jeszcze raz, bardzo uważnie, ale rzeczywiście — są tu tylko same dzieci! Dzieci tak rozbawione, że wszędzie słychać ich beztroski, głośny śmiech... I nagle zdaję sobie sprawę z tego, że przypadkowo trafiłem do tej niezwykłej Krainy, której nie znajdzie się na żadnej, nawet najbardziej dokładnej mapie — do Krainy Uśmiechu! Jest to dla mnie tym większa niespodzianka, że — niestety — ja jestem Dorosły... A Dorosłym wstęp do tej cudownej Krainy jest absolutnie zakazany...

Ciekawi jesteście, dlaczego? To chyba proste. Żaden Dorosły, nawet najfajniejszy, nie umie bawić się tak szczerze i wesoło, jak Dziecko. Zdarzają się, oczywiście, takie przypadki, że Dorosły bawi się z dziećmi, ale — zawsze pozostaje dorosłym i zachowuje swoje zdanie we wszystkim... Wydaje mu się, że jest mądrzejszy, że musi Dziecko podporządkować sobie. Wymyśla Dziecku, w

co ono ma się bawić, i z czego ma się śmiać. A Kraina Uśmiechu — to taka ucieczka Dzieci przed Dorosłymi. Tylko tu mogą się bawić naprawdę w to, na co mają ochotę, i tylko tu mogą śmiać się na przykład — z niczego... A tego — to już naprawdę żaden Dorosły nie umie z pewnością! I właśnie dlatego Dorosli już nie mogą razem z dziećmi odwiedzać Krainy Uśmiechu...

Chowam się więc za gruby pień drzewa, by nie dostrzegło mnie żadne bystre oko bawiących się. Dzieci bawią się jednak tak beztrosko, tak są zajęte sobą i tymi wszystkimi pięknosciami, rozsianymi na każdym kroku, że nie zwracają na nic uwagi. Podglądanie ich wydaje mi się rzeczą bardzo nieładną, wycofuję się więc po cichu w stronę ledwo widocznej furtki, przekręcąc swój zaczarowany kluczyk... i znów jestem w cichym pokoiku dziecinnym, w którym spokojnie śpi Małgosia...

Przed odejściem długo wpatruję się w jej uśmiechniętą buzię. Lala wypadła już z Małgosinych objęć i mruga do mnie porozumiewawczo, a ja — schylam się i całuję delikatnie, nieśmiało, niepowtarzalny, senny uśmiech panny Małgorzaty. „Baw się dalej w swojej cudownej Krainie, jaka jesteś szczęśliwa dzięki niej...” — myślę, kierując się w stronę drzwi. „Gdyby tak móc cofnąć czas, i samemu wrócić, choć na jedną noc, do Krainy Uśmiechu... Gdyby choć na jedną noc odzyskać spojrzenie, rozum i śmiech Dziecka... Żegnaj na zawsze, Kraino Uśmiechu!” I wychodzę, nie chcąc swoją obecnością przeszkadzać Małgosi. Czy tylko jej? Dobranoc...

E. LORENC